cW 9013

Cena 10 zł.

DZIŚ i JUTRO

KATOLICKI TYGODNIK SPOŁECZNY

Rok III | Warszawa, 2 marca 1947 r. | Nr 9 (66)

TREŚĆ NUMERU: Jerzy Mikke—Szansa, którą wygrać trzeba, Stanisław Rembek—Wyrok na Franciszka Kłosa, Kamilla Kętrzyńska Przywódcy współczesnej Francji.

Kazimierz Koźniewski

PROCES POJEDNANIA

PUŁKOWNIK. TOWARZYSZE I MY.

Wrażenie jest wstrząsające. Oto na długiej ławie oskarżonych siedzą jeden obok drugiego ludzie, którzy przez pięć lat kierowali z najwyższym samozaparciem, odwagą i przemyślnością naszą walką podziemną i powstańczą z okupantem. Są to dowódcy A. K., których dotychczas znaliśmy tylko z dźwięcznych lub marsowych pseudonimów, którzy pod tymi pseudonimami przeszli do historii Polski, o których wyczynach uczyć się będą późne pokolenia, których już opiewają poeci i pisarze. Siedzi pułkownik Rzepecki — „Prezes Wolski" — szef największej w świecie podziemnej machiny drukarskiej, kolportażowej i propagandowej, odznaczony dwukrotnie Virtuti, trzykrotnie Walecznych, Krzyżem Zasługi, Krzyżem Niepodległości. Siedzą Rybicki i Leski dwaj wodzowie „Kedywu" owej, dziś już legendarnej organizacji, która na koncie swych wyczynów ma akcję pod Arsenałem, zamach na Kutscherę, ekspropriację na Miodowej — by wymienić tylko najsławniejsze w Warszawie. Siedzi Szurek powstańczy dowódca Śródmieścia. Siedzi Malessa kierowniczka komórki przerzutowej „Załogi", której kurierzy jeździli wszystkimi szlakami europejskimi między Warszawą a Kairem, Gibraltarem, Londynem i Sztokholmem.

Jesteśmy dalecy od gloryfikowania różnej zresztą postawy oskarżonych w czasie śledztwa czy na procesie. Niewątpliwie żałować należy, że płk. Rzepecki nie miał okazji rozwiązać przeżywanego przezeń kryzysu politycznego przed aresztowaniem. Tymniemniej stwierdzić trzeba, że każdy z dziesięciu oskarżonych to żywy fragment dziejów i walk już nie tylko Armii Krajowej, ale całego narodu.

Ludzie ci nie należeli do reakcyjnych, skrajnie prawicowych organizacji politycznych. To byli żołnierze — i tylko żołnierze—którzy do tego dziwnym zbiegiem okoliczności u swych towarzyszy mieli raczej opinie lewicowców, postępowców. „Prezes" był notorycznie znany w AK ze swych radykalnych przekonań, o czym najlepiej świadczy memoriał skierowany w marcu 1944 do gen. Bora. Rzepecki i Sanojca należeli do tych oficerów w popowstańczym obozie jenieckim, którzy wskutek agitacji za powrotem do Kraju uważani byli conajmniej za agentów PKWN. Ludzie ci nie należeli ani nie należą do obrońców wielkich własności ziemskich, ani wielko-kapitalistycznych przywilejów. W pewnej chwili zerwali nawet z „Londynem" odmawiając mu reprezentacyjności.

I oto znaleźli się oni na ławie oskarżonych pod zarzutem nielegalnego, podziemnego zwalczania państwa i ustroju — który w swych społecznych zarysach był im bliski, w którym jedynie jak stwierdził w swej mowie pułkownik Rzepecki — „nie odpowiadały im pewne praktyki administracyjne"! Jakiż powód, jakaż tajemnica, jakaż tragedia tkwi w tym wszystkim? Jakaż siła pchała tych ludzi do dalszej konspiracji — mimo, iż zdawali sobie sprawę nawet z jej bezsadziejności?

Postawione pytania nie są tylko problemem tych dziesięciu oskarżonych. Jest to problem nas wszystkich. Całego środowiska Armii Krajowej, które w tej chwili w dużej części przechodzi bolesny okres historii politycznej, gdyż ciągle jeszcze w niedostatecznym stopniu przemyślało i uspokoiło w sobie historię ostatnich lat siedmiu, będących tylko logiczną koronacją okresu trwającego już lat bez mała sto osiemdziesiąt. Rzepecki, Żuk, Jachimek, Rybicki, Melassa — to tylko osoby, symbole pewnych nastawień. Oni odpowiadają materialnie za pewne określone czyny, ale jeśli chodzi o atmosferę, przeświadczenie, wychowanie z jakich te czyny powstały—to kto wie, czy nawet autor tych gorzkich słów i jego środowisko mogliby zasiąść na takiej ławie między Rzepeckim a Sanojcą. Ich sumień wprawdzie nie obciążają karalne przestępstwa zbrodni antypaństwowych—ale w ich sercach przed trzme,a może nawet i dwoma laty, tkwiło ziarno takich właśnie czynów. Zgnietli je przez zwycięstwo rozumu nad odziedziczonym uczuciem. Rzepecki i towarzysze zrobili to samo o dwa lata za późno.

Proces, noszący nazwę „Rzepeckiego i towarzyszy" — to proces, który niby ostra soczewka ukazuje tragizm, sens i obciążenia naszej historii.

Dlatego też oskarżeni są nam tak bliscy. Dlatego też żołnierze sądowej eskorty są dla nich uprzejmi, a Rzepeckiego tytułują z respektem „panie pułkowniku". Dlatego prokurator — inaczej niż zwykle prokurator — nie nadużywa słów ostrych i w niejednym jego powiedzeniu, czy potaknięciu głową widać sympatię dla oskarżonych. Dlatego prasa ciszyła ton swych wypowiedzi. Dlatego słowa obrońców były namiętne. Gdyż w tym niezwykłym procesie każdy myślał o sobie, a wszyscy myśleli o Polsce.

„WESELA" AKT DRUGI

Pułkownik Jan Rzepecki mówi wolno i spokojnie. Tonacja słów jego ma stale tą samą wysokość. Jedynym gestem — nie tyle krasomówczym, co nerwowym— jest przygryzanie w[illegible]a, okularów. Tym samym tonem opisuje powstanie AK, nakreśla strukturę i poglądy tego ruchu, wyjaśnia teorię o dwóch wrogach, różnice i podobieństwa z emigracją, odkrywa kulisy akcji ujawniania się i jej efekt. Tym samym tonem opisuje najbardziej istotny w tej sprawie okres 1945 roku. Gdy ziemie polskie w całości wyzwolone zostały z okupacji niemieckie, a jednak podziemie polskie, wywodzące się z AK, nie mogło zdobyć się na zakończenie konspiracji. Trwała ona nadal pod coraz to zmienianymi szyldami, które jednak nie były tylko sprytnym maskowaniem istotnej treści, ale rzeczywiście oznaczały pewne słupy na drodze likwidowania starej struktury podziemia, zrywania więzi z Londynem, a jednocześnie szamotania się w jakimś zaklętym kręgu, zdawało się bez wyjścia. Przechodzono od nadziei do rozpaczy. Nadziei, jaką wzbudzały różne konferencje narodowe i międzynarodowe. Nadziei, jaką wzbudził przyjazd „akowskiego premiera" — nazwał go tak Rzepecki — Mikołajczyka do kraju. Rozpaczy, gdyż Mikołajczyk nie potrafił doprowadzić sprawy AK do rozsądnego rozwiązania. Rozpaczy — gdyż aresztowania trwały. Rozpaczy — gdyż stając się coraz bardziej podejrzliwymi — nie ufano już nikomu, ani rządowi jednemu, ani drugiemu, ani amnestii, ani akcji ujawniania zainicjowanej przez Radosława. Wreszcie nastąpił ostatni akt na tej straszliwej drodze: decyzja dalszego trwania w cywilnym — jak było niespełnioną intencją twórców — podziemiu do czasu całkowitego wyjaśnienia się sytuacji na świecie i w kraju. — W przejmujących słowach opisał Rzepecki powyzwoleńczą tragedię żołnierzy AK. Rzetelnych i wiernych żołnierzy, żołnierskich aż do tego absurdalnego stopnia wierności swym przełożonym, którego już nadto było w naszej historii i przez którego nadto krwi zostało zbędnie wylanej. Żołnierzy, którzy tracili już wiarę w skuteczność postępowania rządu, jakiemu przysięgali, a których nowy rząd mimowoli odtrącał głupotą swych urzędników, wyklejających mury afiszami o „zaplutym karle".

W miarę słów Rzepeckiego, gdy swoiście oskarżał premiera M kołajczyka, gdy opisywał szamotanie się podziemia, niezdolnego do zerwania więzów kruszejących, gdy podawał przyczyny, a raczej bez-przyczyny powstania WiN'u... w miarę słów jego towarzyszy, ukazujących klęskę ludzi — narodu! — nie mogących wyrwać się ze swego historycznego dziedzictwa — w miarę tych rozpaczliwych wynurzeń wydawało mi się, iż przestaję być w sali sądowej. Wydawało mi się, że znika podłużny, brązowy stół trybunału, zasnuwają się nagłą zielonl wartownicy, podwyższenie z prokuratorem, i że zamiast brązowego garnituru pułkownika Rzepeckiego widzę przed sobą odświętny czarny tużurek i kolorowy kostium, ubrany dzwoneczkami. I raptem usłyszałem wyraźnie okrutne, przysłowiowo polskie słowa:

...własne trwogi, zbrodnie, sny,
własne brudy, podłość, kłam
znam, zanadto dobrze znam...

i inne:

...Skapały, zżarły się świece,
a że do rąk przytroczone,
więc jeszcze palą się ręce,
w tę samą zaklęte stronę...
...Patrzeć na przebiegi zdarzeń —
dalekie, dalekie od marzeń,
tak odległe od wszystkiego,
co było wielkie w kraju;
że wszystko, co było, przepadło,
bezpowrotnie w mroku zbladło,
to bajki o Trzecim Maju!

Staje mi w oczach Dziennikarz ze swoim arcy-polskim proroctwem:

„Tylko głupość i pustka bezmierna —
a tu skrzydła rozchwiane do lotu,
nie pragną, nie pragną powrotu
i wiedzą, że tam, gdzie dążą,
wyglądu szukać daremno;
przekleństwu swojemu wierne,
lecą, — i nie śmieją ustać,
aż krew do ust pocznie chlustać
ze znużenia, — wtedy padną,
łzą nie pożegnane żadną,
bo śmierć ulga, ulga zgon.

Rzepecki mówi, że od dawna przygotowany był na aresztowanie, na ławę oskarżonych.

W oczach mieniają się postacie Dramatu i każda sufluje Rezepeckiemu i niestety nie tylko jednemu Rzepeckiemu:

„...jakoweś Fata nas pędzą
w przepaść..."
„...nad przepaścią stoję
i nie znam gdzie drogi moje..."
„...słuchać ślepo, wierzyć ślepo,
ja wiem, żeś jest Asan zuch..."

*) Artykuł poniższy pisany był równocześnie z zakończeniem procesu płk. Rzepeckiego i towarzyszy, przed aktem łaski Prezydenta RP. i uchwaleniem amnestii przez Sejm Ustawodawczy.

Wyłyczne

POST

PODSTAWOWYM warunkiem wszelkich twórczych osiągnięć społecznych jest dla nas asceza osobista. Działacz społeczny musi stale toczyć dwie walki — o realizacje idei i o jej życie w samym sobie. Inaczej praca jego staje się pewnym układem czynności mechanicznych i w końcu zanika w niej i cel i sens działania.

Dwie rzeczy decydują o życiu idei w człowieku. Ukochanie konkretnej rzeczywistości, o której zmianę walczy i nie mniejsze ukochanie ogólnych celów dobra, które pragnie zrealizować. Synteza ich daje tę postawę służby, która jest moralnym uzasadnieniem zajmowanej przez działacza społecznego pozycji.

W pojęciu służby nie istnieje moment stagnacji. Jest ona ciągłą i ciężką walką z otoczeniem, dysharmonią wewnętrzną, mechanizacją życia i zmęczeniem. Podjęcie tej walki i jej realizacja wymaga wyrzeczeń i tworzy ten styl życia, który nazywamy ascezą.

Asceza, jako postawa życiowa w służbie idei, możliwa jest w pracy dla realizacji każdego poglądu na świat. Pełne jednak uzasadnienie znaleźć może tylko w bezpośrednim powiązaniu jej celu z Bogiem. Wtedy też tylko może być postawą życiową trwałą, bo tylko miłość ostateczna daje siłę do walki z samym sobą, nie powodując zgorzknienia. Dla nas katolików są to rzeczy jasne. Warto je jednak przypomnieć raz jeszcze, gdy Kościół rozpoczyna okres pokuty, a świat w męce buduje zręby swej przyszłości.

DM FG1 05

W kraju...

„MAŁA KONSTYTUCJA"

POSIEDZENIE sejmu w dniu 20 lutego poświęcone zostało obradom nad t. zw. Małą Konstytucją, t. zn. nad zrębami ustroju państwa. Według projektu rządowego przy zachowaniu zasadniczego podziału na władzę ustawodawczą, wykonawczą i sądowniczą, którą sprawować mają sejm, rząd i prezydent, oraz niezawisłe sądy, stworzona została jeszcze jedna instancja, t. zw. Rada Państwa. Składać ma się ona z Prezydenta, marszałka i wicemarszałków sejmu oraz z prezesa Najwyższej Izby Kontroli Państwa. W zakres jej kompetencji wchodzić mają: Sprawowanie kontroli nad terenowymi Radami Narodowymi, zatwierdzanie dekretów z mocą ustawy, przekładanych przez Rząd, kompetencje Prezydium K. R. N., wynikające z obowiązującego ustawodawstwa, podejmowanie uchwał w przedmiocie wprowadzenia stanu wyjątkowego lub wojennego, wyrażanie zgody na ogłoszenie ustaw o budżecie, narodowym planie gospodarczym i poborze rekruta w wypadkach przewidzianych w art. 8, inicjatywę ustawodawczą, rozpatrywanie sprawozdań Najwyższej Izby Kontroli. W sumie Rada Państwa ma być czymś pośrednim między organem ustawodawczym i wykonawczym z pewnymi atrybutami czynnika kontrolującego.

W czasie obrad nad tym projektem padły ze strony PSL bardzo ostre głosy krytyki. Poseł Wójcicki poświęcił projektowi duże przemówienie i choć został przegłosowany wydaje się, że wywody jego w niektórych przynajmniej punktach zasługują na uwagę.

Rozpatrując sprawę z punktu widzenia teorii, a nie praktyki politycznej, wadą rządowego projektu „małej konstytucji" jest naszym zdaniem stworzenie czynnika, którego zakres kompetencji nie pozwala zaliczyć do którejś z przewidzianych konstytucją władz państwowych, który nie posiada czynnika kontrolującego (nie jest ustalone czy Rada Państwa odpowiada przed parlamentem), i który wreszcie utrudnia jasne zakwalifikowanie pewnych posunięć jako praworządnych lub pozbawionych legalności. Rozumiemy skąd powstał ten projekt. Chodziło o ustalenie ciągłości między działaniem terenowych rad narodowych a czynnikami rządzącymi. W sumie jednak przyjęte rozwiązanie wydaje nam się możliwe do utrzymania tylko w okresie przejściowym. Dwie bowiem istnieją życiowe drogi w tej sprawie w ustabilizowanym państwie. Albo połączenie działania Rad Narodowych z pracami sejmu, czy wogóle czynnika ustawodawczego, albo podporządkowanie ich organom wykonawczym, t. j. któremuś z ministerstw. W każdym z tych wypadków charakter powstawania, zakresu działania i kierunku prac Rad Narodowych zostanie jasno choć odmiennie określony, w obu jednak niezamąconym pozostaje schemat władz Rzeczypospolitej. I choć nie jesteśmy doktrynerami, dla których układ władz ważniejszy jest od funkcjonowania aparatu państwowego, to przecież uważamy, że ustrój powinien być wynikiem całkowitego sharmonizowania wszystkich czynników rządzących w państwie i w żadnym miejscu nie może pozostawiać możliwości przerwania się strumienia praworządności. Stąd wyobrażamy sobie, że prace konstytucyjne sejmu usuną w przyszłości ten mankament, rozwiązując problem działania terenowych rad narodowych i podporządkowując je któremuś z zasadniczo przewidzianych czynników rządzących.

JOHN KNITTEL

ABD-EL-KADER

powieść

Stron 352 zł 450,—

KSIĘGARNIA

ZDZISŁAW GUSTOWSKI

POZNAŃ

Wieka 10 **Św. Marcin 34**

Tel. 81-30 **Tel. 9489**

Tasują się słowa, które z poezji przeszły w życie i stały się nieszczęsnymi liczbami narodowych bilansów: Moc... Śmierć... Noc... Zgoda... Sprawa... Przymierze... Słowo... Rozkaz... Duch...

Wreszcie spośród korowodu figur wyłania się jedna: Hetmana.

I słyszę ów znany ponury, do dziś jeszcze dzwięczący po „lasach" refren.

Zasadnicze zeznania w procesie Rzepeckiego i towarzyszy zostały złożone przed pół wiekiem przez Stanisława Wyspiańskiego w drugim akcie „Wesela".

Tragedia narodu, który dzięki fatalnym perypetiom swej historii, sunącej w dół od potęgi do rozbiorów, przez wiek przeszło za jedyną realną ojczyznę mógł wyznawać własną poezję i który instynktownie przed wynarodowieniem szukał ratunku w ostrej, nie zawsze politycznie dobrze wybranej, walce zbrojnej i konspiracyjnej —

narodu, w którym pospołu historia z poezją wyhodowały ostry kompleks anty-rosyjski, —

narodu, który nie mając własnej państwowości przez czas tak długi, nie miał danych, by wykształcić w sobie talenty realnej polityki, w właściwy czas dostrzegającej konieczność elastycznych zmian, —

narodu zbyt żołnierskiego, jak na potrzeby współczesnego mu świata, —

narodu widzącego wprawdzie jasno i stałe cel ostateczny, ale nie mającego prawie nigdy realnych koncepcji realizacji tego celu, —

narodu zbyt lojalnego wobec własnej historii, własnych wodzów, których wolał uznawać w żołnierzach i poetach, niż w politykach —

— tragedia takiego właśnie narodu znalazła swój pełny wyraz w dwóch analogicznych spektaklach. Wtedy, przed laty czterdziestu sześciu w wspaniałej sali Teatru im. Słowackiego i dziś, w styczniu 1947 roku, w surowej salce Sądu Rejonowego na Lesznie.

I obrońca Rzepeckiego mecenas Maślanko mógłby do swego doskonałego wywodu historyczno-psychologicznego dorzucić jeszcze ten krwią oblany dwuwiersz:

„Myśmy lecieli na lep poezji
i teraz dwór się od poezji trzęsie".

NARÓD Z NADMIAREM HISTORII

Rzeczywiście — dwór się ciągle jeszcze trzęsie od poezji. Współczesne pokolenia młodych Polaków poznają rodzimą historię i abecadło narodowej polityki nie z książek polityków, czy historyków, nie z Koźmiana, Bobrzyńskiego, ale z „Dziadów", „Anhellego", „Kordiana" i szeregu arcydzieł wielkich, wielkich rapsodów narodowych, które uczyły nas czynu mimo wszystko, walki za każdą cenę, patriotyzmu bez wyrachowania, uczuć nie zmaterializowanych. Wydawało się nam nieustannie, że tylko czynem zbrojnym wywalczymy sobie niepodległość, a gdy nakoniec zjawiła się ona **bez udziału naszego oręża** — to i tak zaraz miłości własnej narodu stało się zadość: wojna z bolszewikami i „Cud nad Wisłą". Nie było więc dobrej racji powątpiewać w skuteczność polskiego oręża. Peozja triumfowała. Triumfowała w dwójnasób. — Nie tylko dlatego, że zbrojne starcie ochroniło Ojczyznę, ale i dlatego, iż pobito właśnie Rosjan.

Trzeba to jasno i wyraźnie stwierdzić — od sto osiemdziesięciu lat historia Polski obraca się wokół Rosji. Rosja Carska — największy nasz rozbiorca i okupant — był zasadniczym podmiotem naszej historii, a nienawiść do niego zasadniczą nutą naszej poezji. I nienawiść i żal, narastające z górą wiek, miały prawo być w pełni umotywowane. To był główny motyw naszej narodowej sztuki, główny motyw wychowania, główny motyw życia każdego nieledwie z naszych dziadów i ojców. Każde pokolenie zrywało się do walki. Nie zastanawiano się nad sensem i czasem pod kątem politycznych korzyści; wyobrażano sobie, iż drobna Polska siłą zrzuci kolosalne jarzmo. Z biegiem lat wykształciła się w nas obsesja walki o wolność — i to właśnie nie polityki dążącej do wolności, lecz walki. Indusi okazali pod tym względem więcej rozsądku od nas.

Rok 1920 nie zamknął rachunku. Siła fatalna naszej historii i naszej poezji trwała dalej. Politycy nie potrafili sumować milionów ludności na wschodzie i zachodzie a wobec tego oprzeć swojego stosunku do nich na zasadzie iż w polityce nie ma wiecznych wrogów i nie ma wiecznych przyjaciół. Że — jeśli to konieczne i korzystne — wczorajszy wróg winien być sojusznikiem. I naodwrót. Byliśmy żołniersko wierni nie tylko naszym wodzom, ale i naszym nawykom myślowym i naszym wychowawcom ideowym, nie pomni na różnicę sytuacji.

W takim nastroju zastał nas rok 1939. Rok, w którym zostaliśmy wtrąceni w wielką politykę. W imię tej wielkiej polityki, wszystkie mocarstwa tej wojny kierowały się tylko własnym, dobrze zrozumiałym interesem. Ich polityka nie była prowadzona w rękawiczkach, z myślą, by nie urazić niczym swych aliantów i sprzymierzonych. Realistyczną politykę Wielkiej Brytanii nasi emigranccy rodacy, po dziś dzień boleśnie odczuwają na własnej skórze. Również i Rosja, prowadząc wielką grę polityczną, liczyła się przede wszystkim z interesem swego narodu i państwa. I przyniosło to jej w rezultacie tak wspaniałe zwycięstwo. Po drodze do tego zwycięstwa zjawiały się fakty dla nas bolesne, które nie przyczyniały się i nie mogły się przyczynić do załagadzania półtorawiekowej rusofobii.

I wtedy właśnie stała się rzecz szaleńcza. Gdy na wschodzie rodziło się wielkie nad Niemcami zwycięstwo. Gdy jasnym się stało, że jedno ze zwycięskich mocarstw — i właśnie Rosja — przez nasze ziemie pędzić będzie Niemców do Berlina — Rząd Polski nie potrafił z mocarstwem tym zawrzeć stosownej ugody. Nie potrafił dlatego, że nie umiał zmienić swych przyzwyczajeń myślowych, że był zbyt wierny własnej historii i zbyt nowobogackim w międzynarodowej polityce — by pojąć, że są rzeczy, za które nigdy nie ma cen zbyt wysokich.

Co gorsze — nie tylko rząd rezydujący w Londynie tak myślał, ale tak uważała znakomita większość narodu, która w wschodnim sojuszniku widziała wroga, która panicznie bała się nowej niewoli, nowego rozbioru, nowej okupacji. Bała się, a równocześnie honor narodowy swoiście literacko rozumiany nie pozwalał czynić nic, by ewentualnościom tym zapobiec. A gdy nakoniec — w ostatniej neimal minucie znalazła się grupa ludzi, którzy zdecydowali się przerwać ten czar fletu, naród pędzącego w przepaść — wtedy zapomniano całkowicie, że można z tymi ludźmi walczyć ideologicznie, że można oburzać się na ich polityczny sposób bycia, ale że trzeba uznać w samym kierunku ich działania, realizowanie polskiej racji stanu.

Złowieszcza siła naszej historii — jeszcze raz okazała swą moc. Początkowo zamykano oczy i zatykano uszy — nie chcąc zdać sobie sprawy z faktu, iż jednak powstaje państwo polskie na nowo, iż jest ono rzeczywiście polskie. Oczywiście państwo jest w sojuszu z Rosją. Sojuszu, będącego rezultatem aktualnej wspólnoty interesów politycznych (np. na odcinku polityki niemieckiej) oraz politycznego rozsądku. Realny interes polityczny Rosji przez zapewnienia generalissimusa Stalina gwarantowały nam niepodległość. Naród musiał wybierać. Musieli wybierać jego przewódcy. I gdy stosownej decyzji nie potrafili dokonać kierownicy formalni, musieli się znaleźć i podjąć ją kierownicy faktyczni.

Może się ktoś oburzać na cynizm wydarzeń i mocarstw, ale nie zmieni to faktu. A naród musi pamiętać, iż naczelnym jego zadaniem jest w każdej okoliczności historii urządzać sobie i swoim obywatelom jak najwygodniejszą i najszczęśliwszą formę bytowania.

Od kompletnego wyzwolenia minęły dwa lata. Dwa niełatwe lata. Lata, które łudzącym dowiodły, że Polska liczyć może tylko na własne siły. I że w dużym stopniu od nas zależy, czy z pokojowego współżycia z Rosją ciągnąć będziemy profit, czy też będziemy płacić kosztowne rachunki wrogości. To, że członkowie partii Bloku Demokratycznego będą po wsiach i miastach mordowani, to, że w lasach ukrywać się będą gromady uzbrojonych partyzantów — to przecież nie ma żadnego wpływu na bieg zdarzeń w Europie. To ani nie zapobieże pokojowi — jeśli trzy wielkie mocarstwa będą miały wolę jego utrzymania, ani też nie przyśpieszy choć o jeden dzień wojny, jeżeli ona kiedykolwiek wybuchnie. To nawet nie naruszy podstaw dzisiejszego ustroju w Polsce.

Natomiast — choć mała, ale permanentna wojna domowa — jaka, choć coraz mniejsza, trwa jednak ciągle, ma ten skutek, iż utrudnia regenerację naszego narodu — regenerację biologiczną, materialną, kulturalną i moralną — a w konsekwencji może grozić nam tak wielkim wyczerpaniem, że nie będziemy w stanie znieść już żadnego więcej uderzenia historii. A z takimi musimy się nadal, niestety, liczyć — jak wszyscy.

Świadomość konieczności zasadniczej zmiany naszej postawy narodowej wobec Rosji — z wrogiej na sojuszniczą — powoli gruntuje się w całym społeczeństwie. W narodzie jednak tak wiernym swojej historii — jak Polacy — zmiany te ani są proste, ani przychodzą łatwo.

I tu dochodzimy do sedna problemu pułkownika Rzepeckiego i jego towarzyszy. WiN w koncepcji jego założycieli już oderwał się od Londynu, już teoretycznie gotów był uznać stan obowiązujący w Kraju — nie dojrzał jeszcze do pokonania w sobie nieufności względem Rosji i względem rzeczników sojuszu z Rosją. Zaledwie 10 miesięcy minęło przecież od ich powrotu z niewoli, zaledwie rok od wyzwolenia. A to przecież tragiczny balast narastał przez lat sto osiemdziesiąt. Balast nadmiaru historii.

DWA PODZIEMIA

Pierwsza komenda WiN została aresztowana przed rokiem. Druga przed czterema miesiącami. Trzecia przed paru tygodniami. Druga składała się z dawnych współpracowników Rzepeckiego, którzy nie uznali jego rozkazów, wydanych z więzienia. Z ludzi — ciągle tych samych — którzy ciągle jeszcze tkwili w tragicznym czadzie własnej tragedii, którzy zapędzeni w jakąś matnię bez wyjścia, konspirowali — i konspirują nadal — nie wiedząc ani kiedy, ani jak zakończy się ta sprawa i ich polityczne marzenia, czy mrzonki, zostaną zrealizowane. Podziemiom polskim brak jest jakiejkolwiek koncepcji realizacji własnych celów — dlatego też prawdziwe ideowe podziemie kurczy się coraz bardziej, dlatego postępuje w nim rozkład w kierunku bandytyzmu, dlatego pracuje coraz gorszym moralnie i głupszym materiałem. Dlatego też Władze Bezpieczeństwa mają z rozszyfrowywaniem jego coraz łatwiejszą i mniejszą pracę.

Istnieją oczywiście dwa podziemia. Jedno — coraz mniejsze, ginące — to podziemie ideowe, podziemie wierzące w sens moralny własnej roboty.

Drugie natomiast — to podziemie bandyckie. To zwyczajni bandyci, nieuchronna piana wojny i okupacji, podszywający się pod polityczne szyldy. Niestety — stwierdzić należy — iż w kierunku bandytyzmu ewoluują te wszystkie jednostki słabsze, które nie mogą znaleźć jakiegoś rozsądnego wyjścia z podziemia. Podział ten idzie poprzez dwie zasadnicze organizacje podziemne: WiN i NSZ. W obu są jeszcze zapewne idealiści, słabi lub otumanieni, szamocący się wewnętrznie. Obowiązkiem społeczeństwa jest ułatwić im wyjście na drogę normalnego, spokojnego życia.

Polska ma już etap rewolucji poza sobą. Stoimy u końca okresu rekonwalescencji porewolucyjnej, a u progu powojennej stabilizacji. W takim okresie warto wszelkimi środkami podjąć te próby, o których pisał Kott w swoim kapitalnym artykule „Dzieje Anny". Z tym, iż tyczyć one winny nie tylko młodzieży, ale całego społeczeństwa, które wymaga wyrozumiałości: nastawień historii tak łatwo się nie odmienia. Dlatego lepiej się stało, iż proces Rzepeckiego wypadł dziś niż przed rokiem, dlatego może lepiej, że pierwszą akcję likwidacji podziemia podjął Radosław, a nie Rzepecki. Potrzeba było tego roku, który był poważnym krokiem na rozładowanie wielu obaw i oporów psychicznych ze stron obu. Rządu i społeczeństwa.

Oby proces Rzepeckiego mógł dla Rządu stać się okazją podjęcia jeszcze raz wysiłku rozładowania resztek ideowego podziemia. Oby proces Rzepeckiego mógł stać się dla szerokich rzesz społeczeństwa okazją do rzetelnego przemyślenia naszych obecnych interesów i korzyści. Nie będzie to łatwe. Nie będzie to ostateczne. Ale jeśli choć w części przyczyni się do uzdrowienia atmosfery w Polsce — bole-

W świecie...

ANGLIA RÓWNA W LEWO

W ostatnich dniach obserwujemy dążenia Wielkiej Brytanii do ostatecznego załatwienia swych spraw z rządami środkowo - wschodniej Europy. Rząd Wielkiej Brytanii uznał rząd Bułgarii za reprezentatywny dla narodu bułgarskiego i postanowił z nim nawiązać stosunki dyplomatyczne. Jednocześnie rzecznik Foreigne Office wyraził zadowolenie z projektu ustawy amnestyjnej, zapowiedzianej w wywiadzie Prezydenta Bieruta. W Londynie oświadczono również, iż rząd angielski rozpatruje ponownie możliwości ratyfikacji układu skarbowego polsko-brytyjskiego. Ostatnio min. Bevin w odpowiedzi na pytania posłów Izby Gmin na marginesie wyników wyborów w Polsce stwierdził, iż Wielka Brytania nie zerwie stosunków dyplomatycznych z Polską.

FRANCJA ROZBUDOWUJE SIEĆ SOJUSZÓW

FRANCJA podpisała nowy sojusz z Czechosłowacją, stanowiący analogię do zawartego już dawniej sojuszu z ZSRR. Toczą się rokowania między W. Brytanią a Francją na temat zawarcia sojuszu; trudność rokowań polega na uzgodnieniu — dość sprzecznego dotychczas — stanowiska obu państw wobec problemu niemieckiego. Przy okazji wizyty paryskiej min. Modzelewskiego została poruszona sprawa modyfikacji i odnowienia sojuszu polsko-francuskiego zawartego przed laty 26 i zasadniczo obowiązującego po dziś dzień.

UKŁAD KULTURALNY

DNIA 19 marca podpisana została konwencja kulturalna między Polską a Francją. Postanawia ona utworzenie mieszanej komisji kulturalnej, która będzie odbywać swe sesje częściowo w Warszawie, częściowo w Paryżu. Szkolnictwo polskie we Francji zrównane zostało w prawach ze szkolnictwem francuskim. W Warszawie zostanie odbudowane liceum francuskie.

SPRAWA PALESTYNY W ONZ.

RZĄD W. Brytanii, po bezskutecznych próbach zorganizowania w Palestynie jakiegoś modus vivendi — zdecydował się oddać sprawę Palestyny pod decyzje i do rozpatrzenia ONZ-ych. Decyzja ta spowodowała duże niezadowolenie zarówno w kołach arabskich jak żydowskich.

Równocześnie Rada Bezpieczeństwa rozpoczęła obrady nad skargą W. Brytanii przeciwko Albanii. Obie te sprawy jeszcze raz wykażą aktualną wartość ONZ. Sprawa Albanii rozstrzygnięta zostanie prawdopodobnie po linii życzeń Wielkiej Brytanii. Sprawa Palestyny będzie dla ONZ ciężkim orzechem do zgryzienia i stanie się ona przykładem, czy autorytet międzynarodowy potrafi dziś już skutecznie łagodzić namiętności narodowe. Będzie to też prawdopodobnie pierwszy wypadek w dziejach ery chrześcijańskiej, kiedy przed organizacją międzynarodową staną przedstawiciele narodu żyjącego w diasporze.

REZOLUCJA ROZBROJENIOWA

13 lutego Rada Bezpieczeństwa przegłosowała en bloc rezolucję Komisji rozbrojeniowej 10 głosami, przy jednym (ZSRR) wstrzymującym się. Rezolucja zwiera postanowienie opracowania zarządzeń mających urzeczywistnić reglamentację i redukcję zbrojeń i sił zbrojnych oraz informację o siłach zbrojnych Narodów Zjednoczonych; powziąść decyzję celem ułatwienia pracy komisji atomowej energii; pozwać specjalną komisję, która przygotuje wnioski dla Rady w sprawie powszechnej reglamentacji i redukcji zbrojeń. z wyłączeniem spraw polegających komisji energii atomowej; wezwać komisję sztabów wojskowych, by możliwie najprędzej wydały zalecenia celem sformułowania Sił Zbrojnych znajdujących się w dyspozycji Rady Bezpieczeństwa ONZ. Protest ZSRR tyczył wyłącznie spraw energii atomowej z pod kompetencji Komisji Rozbrojeniowej Rady Bezpieczeństwa.

Jerzy Mikke

Szansa, którą wygrać trzeba

„Zdobycie granicy Odra — Nissa, to zaledwie wygrana bitwa. Utrzymanie granicy Odra — Nissa przez następne lat 30, to będzie wygranie wojny 1939—45", pisał niedawno w swej słynnej książce Edmund Osmańczyk.

Prawdy te winny stać się własnością wszystkich Polaków, szczególnie teraz, w przededniu konferencji pokojowej. Uznanie tych prawd zmusza do przeprowadzenia gruntownej analizy dotychczasowego stosunku zarówno obozu rządzącego, jak i opozycyjnych części społeczeństwa do ziem odzyskanych.

Trzeba zbadać różne aspekty zagadnienia, by móc wnioskować dostatecznie wszechstronnie, by nie mieszając przyczyn ze skutkami, znaleźć prawdziwe źródła istniejącego zła. Zadaniem chwili obecnej wszystkich Polaków jest zatem szybka i właściwa likwidacja tych przyczyn, które utrudniają stworzenie maximum warunków, nieodzownych do wygrania pokoju.

I. WYŚCIG PRACY

Świat uznaje dziś dwa argumenty: siłę gospodarczą i siłę ideową. Pod względem pierwszej pokonane Niemcy górują zdecydowanie nad zwycięską Polską. Umieją uparcie codziennie pracować. Nas — Gdynia i COP wczoraj zwolniły od pracy na lata, po których znów nastąpił wybuch czynu, — most Poniatowskiego, bądź w ząbkującej fazie — będąca odbudowa stolicy. Te kilka produktów polskiej pracy na miarę europejską nie zwalnia jednak od dalszego wysiłku nieustannego budowania siły gospodarczej Polski. To jest bowiem najrealniejsza gwarancja naszej pozycji we współczesnym świecie.

Ziemie odzyskane są podstawą bogactw obu wrogich narodów. Ich powrót do Niemiec oznaczałby dla nas jeszcze jedną niespełnioną koniunkturę na niepodległość. Natomiast ich utrzymanie przy Polsce nie zależy od naszego chcenia, lecz jedynie od sposobu, w jakim chcenie nasze wyrazi się w zbiorowym wysiłku.

Mocarstwa, ratyfikując nową granicę polsko-niemiecką, kierować się będą zimną kalkulacją korzyści, jakie osiągnąć mogą dla siebie wówczas, gdy Dolny Śląsk, czy Pomorze Szczecińskie zostaną odpowiednio zagospodarowane. Żadne inne względy, żadne prawa moralne i najbardziej płomienne protesty nie wpłyną na linię podziału, oprócz jednego czynnika — kredytu zaufania do użyteczności gospodarczej obu stron. Tylko zwycięstwo polskiej pracy, tylko zwycięstwo świadomego swych zadań poszczególnego Polaka — nad świadomym swych zadań poszczególnym Niemcem, określi stosunek aliantów do obu narodów i zapewni nam pokój realniejszy i trwalszy od wszelkich papierowych traktatów.

II. ZWYCIĘSTWO BEZ WALKI

Ci, którzy przyjeżdżają po raz pierwszy na Zachód z gotowym już zwykle obrazem, stają zazwyczaj oczarowani nietylko pięknem kraju, ale przede wszystkim bogactwem polskiego życia.

Reoplonizacja jest faktem tak bezspornym, że aż budzącym refleksje.

Tam, gdzie jeszcze przed kilkunastu miesiącami rozbrzmiewała wszechwładnie niemczyzna, dziś nie słychać innego języka, jako polski. Zastanawiająca jest łatwość, z jaką wygraliśmy repolonizację w jej aspekcie biologicznym. Uderzająca jest powolność, z jaką wielotysięczny żywioł niemiecki usunął się poza margines walki o narodową przynależność tego kraju. Nie oznacza to oczywiście rezygnacji z „utraconego kraju". Niemal wszyscy z Niemców wierzą, że wrócą. Dlatego właśnie nie walczą. Nawet skrytobójcze kule wilkołaków, ani pełne nienawiści spojrzenia nie posiadają w sobie cechy jakiegoś biologicznego, czy świadomego przeciwdziałania, nic z odporności narodu wobec obcego naporu.

Byłoby jednak błędem nie doceniać przeciwnika. Kto wie, czy ta pozorna apatia, czy ten ociężały beznadziejny jakiś spokój, z jakim czekają na trzecią wojnę, lub dyplomatyczną intrygę, nie kryje w sobie swoistej taktyki oszczędzania sił? Być może, że ta bezradność pozbawionego pasterza stada, jest tylko doskonałą próbą maskowania gdzieś głęboko utajonego, podziemnego nurtu. Bez względu na to, która z tych hipotetycznych podstaw jest bliższa prawdy, polski charakter tych ziem nie ulega wątpliwości. Ale łatwość sukcesu naszego osadnictwa może być w tym samym stopniu źródłem odrodzeńczej mocy, jak i przyczyną jeszcze jednej niespełnionej szansy. Szansy ogromnej.

Często w naszych dziejach źródła wielkości stawały się zarodkami klęsk. Dzieje nasze znają również wielką kolonizację bezkresnych litewsko-ruskich przestrzeni, których bogactwo i pozory siły odwróciły nas od pracy, od morza, od rewolucyjnych przemian Eeuropy.

Czas wyciągnąć wnioski z historycznych błędów. Nie upajajmy się przedwcześnie sukcesami naszej najnowszej kolonizacji. Dużo danych w publicystyce polskiej i przemówieniach czołowych przedstawicieli państwa, niestety, wskazuje na to, że przeceniamy wartość dotychczasowych osiągnięć polskiego osadnictwa. Wszystko zależy od proporcji środków do celów. Wszystko zależy od tego, czy i tę repolonizację potraktujemy jako fakt dodatni, lecz już historyczny, a odbudowę tak społeczno-gospodarczą, jak w pierwszym rzędzie moralną polskiego życia jako cel, czy też zdobywszy te ziemie, pozwolimy siłom naszym marnieć w hedonizmie codziennego bytowania.

Fakt, że żywioł polski wartkim potokiem wdarł się przed półtora rokiem w dawne swe krainy, zdolny do przerwania niemieckiej tamy, nie napotkawszy jej, rozlewa się w szeroką rzekę, której wody martwieją, jest niepokojący. Nie dopuśćmy, by w tych bogatych dolinach wyżłobił sobie wygodne dno, by sechł jak bagienko, albo we właściwym czasie zmieniając kierunek, odpłynął z powrotem.

Pamiętając, jak mocarną jest energia wodna, zwężajmy i regulujmy jego koryto, stawiajmy mu coraz nowe, coraz trudniejsze zapory. Niech idzie w górę, niech wali taranem w potężniejący z każdym dniem po tamtej stronie granicy, niemiecki duch odwetu.

III. SZKOŁA SPOŁECZNA

Odmienne od powyższych, choć niemniej zasadnicze znaczenie posiadają ziemie odzyskane w procesie kształtowania wewnętrznej rzeczywistości polskiej.

Na Ziemie Odzskane przerzucono główny ciężar odbudowy, tam inwestuje się największy kapitał ludzki i gospodarczy. Tam wreszcie przebudowa społeczno-gospodarcza wymaga najmniej trudności, bo nie natrafia na opór tradycji, bo zaczyna wszystko od początku, bez konieczności burzenia dawnych form.

Ta łatwość tworzenia, to dysponowanie siłami nieporównanie większymi niż w reszcie Kraju, ma znaczenie nie tylko lokalne. Powodzenie lub niepowodzenie staje się sprawdzianem zdolności, siły i mądrości całego społeczeństwa. To też podkreślając tym usilniej wartość dotychczasowych osiągnięć, trzeba jasno powiedzieć, że o przyszłości Ziem Odzyskanych zadecyduje tworzący je człowiek. On jest bowiem właściwym twórcą siły gospodarczej, on determinantem układu stosunków społecznych, on gwarantem powodzenia przyjętej doktryny. Jemu też, chcąc jasno uwypuklić ogrom zadań, jakie stoją przed nami na Zachodzie, trzeba się z miłością, ale krytycznie przyjrzeć.

Wojna wstrząsnęła posadami spokojnego, osiadłego bytowania rolniczego narodu. Wysiedlenia, obozy i deportacje niedawnej przeszłości zmieniły społeczeństwo polskie socjalnie, etnicznie i gospodarczo. Odtąd sztuką życia, miarą indywidualnej wartości stało się ciągłe przystosowywanie do przeobrażających się, obcych warunków. Ziemiańsko-chłopska struktura polskiego życia wolała od wieków bazować na zasobach gospodarczych, często przerażająco ubogich, lecz z dawna posiadanych, więc pewnych, niż je porzucać dla ryzyka walki o inne, lepsze. Stąd zwykło się u nas wybierać stałą, choć nędzną wegetację, zamiast zdobywać na męski trud szukan a innych korzystniejszych rozwiązań. Tak było do września.

Okupacja wytworzyła nowy typ człowieka. Obok bojowników wolności wzrastali w niej pozbawieni wszelkich skrupułów ludzie koniunktury. Konieczność odbudowy wyzwoliła znów inne cechy i powołała do działania ludzi pracy i czynu. I jedni i drudzy są zaprzeczeniem dotychczasowej bierności rolniczego społeczeństwa tylko, że jedni w sensie pozytywnym, drudzy ujemnym. Obie te kategorie podążyły na Zachód. Przyszłość tych ziem leży, rzecz prosta, w daniu jak największych możliwości ludziom twórczej pracy, w jak najszybszym pozbyciu się powojennych szumowin okupacji. Na razie jest to jeszcze wielki problemat Ziem Zachodnich.

IV. PRAWDA O CZŁOWIEKU

Bujniejszy jest posiew wszystkich rewolucyj niż normalnego czasu. Bujniej też obok wspaniałych kłosów plenią się chwasty koniunktury.

Na ziemiach tych znalazł się w pierwszych miesiącach element prężny, żywotny i przebojowy. Część jego stanowili ideowi pionierzy polskości, część ideowi pionierzy systemu, bardzo znaczną część poszukujący łatwego zysku awanturnicy, spekulanci, resztę ludzie zniszczeni i repatriowani. Tereny zachodnie są dzisiaj mozaiką nie tylko malowniczych krajobrazów, lecz i przebogatą konfiguracją nowych, wytwarzanych przez wojnę, stosunków społecznych.

Gorączka przemian utrudnia siewcom częstokroć oddzielenie pełnych ziarn od plew.

W najbliższym czasie ukaże się od dawna oczekiwany dziennik Polaków-Katolików

„SŁOWO POWSZECHNE"

W katolickiej Polsce katolicka myśl i zdrowa, rzetelna, ciekawa informacja — oto zadania, które przez „SŁOWO POWSZECHNE" będą realizowane.

PRENUMERUJCIE

„SŁOWO POWSZECHNE"

Redakcja dziennika otwiera przedpłatę na stały abonament. Przypomina, że tylko zaprenumerowanie pisma zapewnia:

1 regularny odbiór pisma
2 ułatwia kontakt między czytelnikiem i redakcją
3 stwarza dla pisma stałą podstawę rozwoju.

Prenumerata „SŁOWA POWSZECHNEGO" wynosi miesięcznie 80 zł

PREMIUJEMY:

Wypłacamy 500 złotych premii: prenumeratorom Nr 1, 500, 1000, 1500, 2000, 2500, 3000, 3500, 4000, 4500, 5000. Z każdym dniem premiowanym prenumeratorom przeprowadzimy wywiad, który zostanie ogłoszony w „SŁOWIE POWSZECHNYM".

ZGŁASZAJCIE PRZEDPŁATY NA PRENUMERATĘ!

Adres Administracji — Lekarska 9. Konto P.K.O. Nr I—4638

Tydzień kulturalny

BIBLIOTEKA MEANDRA

DOSKONALE redagowany przez prof. K. Kumanieckiego miesięcznik „Meander“, poświęcony życiu i sztuce starożytnym, rozpoczął wydawanie własnej biblioteki. Jako tom pierwszy wydawnictwa ukazały się Salustiusza „Sprzysiężenie Katyliny i Wojna z Jugurtą“ w doskonałym tłumaczeniu profesora K. Kumanieckiego. Jako tom drugi mają się ukazać poezje Horacego w tłumaczeniu Morstina.

Trzeba z dużym uznaniem podnieść zarówno „Meandra', jak i wydawanej przez niego biblioteki. Wiedza o starożytności miała u nas zawsze poważnych znawców — Morawskiego, Zielińskiego, ks. Szczepańskiego, ks. Michalskiego Wilhelma, ks. Archutowskiego Józefa, ks. Czuja, ks. Eugeniusza Dąbrowskiego, (którego znakomita praca p. t. „Św. Paweł“, zdaniem znawców, znacznie poważniejszą niż „modny“ „Paulus“ Holznera, ma się ukazać w najbliższych tygodniach) — jest jednak sprawą ważną, aby pogłębione studia nad starożytnością miały w dalszym ciągu swoich kontynuatorów. Działalność grupy uczonych, której przewodniczy prof. Kumaniecki, spełnia te nadzieje. Oby tylko grupa ta posiadała odpowiednie fundusze, bez których akcja wydawnicza książek, przeznaczonych bądź co bądź dla ograniczonego koła czytelników, nie będzie mogła się rozwijać. Brak jest całego szeregu pozycji z literatury starożytnej w przekładzie polskim. Nie mamy—poza bardzo słabym, robionym w pierwszej połowie 19 wieku z rosyjskiego(!) przekładem „Starożytności“ Flawiusza. Nie mamy „Eneidy“. Nie mamy „Anabazy“ Ksenofonta. (Obie wzmiankowane książki były wydane w Bibliotece Narodowej — obecnie są całkowicie wyczerpane). Nie mamy wogóle przekładu pism Herodota! Trzy tomy Tacyta w świetnym tłumaczeniu Hammera, wydane przed wojną, nie istnieją w handlu. Tom czwarty — druga połowa „Kronik“ — nie został wydany (pokutuje jeszcze za to tu i tam w antykwarniach niezrozumiały przekład Okęckiego. Prof. Witwicki ma cały szereg przetłumaczonych pism Platona i... próżno czeka na wydawców. Zresztą wyczerpane są także poprzednio wydane pisma Platona — zwłaszcza brak się odczuwa „Rzeczypospolitej“!

Byłoby naprawdę wielkim szczęściem, aby się znalazły fundusze na wydawanie arcydzieł literatury starożytnej.

DODATKI RODZINNE

MÓWI się o podniesieniu dodatków rodzinnych. Mówi się o wprowadzeniu nareszcie realnych dodatków do uposażenia dla ojców rodzin dzietnych. Według „Życia Warszawy“ dodatki te mają wynosić po 500 zł. Byłoby to bardzo mało, ale ostatecznie wyszlibyśmy nareszcie z krainy fikcji.

Rzecz jednak w tym, by się cała sprawa nie wyczerpała w „dodatkach“. Dziecko nie może być przywilejem jedynie „funkcjonariusza“. Chodzi o to, aby samo dziecko miało przywileje — niezależnie od tego, czyim jest dzieckiem. Więc by nie płaciło w tramwaju, nie płaciło w kolei, miało możność wyjazdu na wieś, miało przydział mleka, słodyczy, miało opiekę lekarską, szkołę, świetlicę, ubranie, dom rodzinny, kąt we własnym domu... Najwyższy czas zrozumieć, że dziecko jest naszym największym bogactwem.

E PUR SI MUOVE

RUCHLIWA sekcja Artystyczno-Kulturalna T. B. P. S. U. W. zorganizowała drugi wieczór poezji akademickiej w sali „Bratniaka“. Notujemy ten akt z radością jako przejaw działalności literackiej najmłodszych.

Na program tego wieczoru złożyły się utwory poetyckie: Białoszewskiego Mirona, Choińskiego Bogusława, Cywińskiego Krzysztofa, Czachorowskiego Stanisława, Ficowskiego Jerzego, Fiszer Ewy, Galkowskiego Jana, Grygolunasa Jerzego, Wasilewskiego Marka i Węsierskiego Bohdana.

Jednocześnie Polskie Radio poświęciło kwadrans poetycki utworom akademików warszawskich (Czachorowskiego, Dobrzyńskiej, Ficowskiego, Grygolunasa i Żyłko). Zestawienie tych dwóch faktów dowodzi, że na Uniwersytecie Warszawskim ożywia się

PRZEBACZASZ?

Przebaczam — odburknął szorstko.

— Żałujesz za swoje grzechy?

— Żałuję.

— Postanawiasz już więcej nie grzeszyć?

— Postanawiam.

— I wynagrodzisz krzywdy, jakie będziesz mógł, bo przecie umarłych już nie wskrzesisz.

— Wynagrodzę.

— Dobrze, w takim razie za pokutę odmówisz do końca miesiąca różaniec do Matki Boskiej, żeby ci pomogła utrzymać się na drodze poprawy.

— To, proszę ojca duchownego, to ja otrzymam rozgrzeszenie? — ze zdumieniem zapytał Kłos.

— Owszem, pod warunkiem, że dopełnisz wszystkiego coś przyrzekł. Zresztą, jak mówiłeś, otrzymałeś wyrok śmierci, a nam kapłanom nie wolno odmawiać absolucji in articulo mortis, czyli w obliczu śmierci.

Kłos puścił to mimo uszu.

— I będę mógł przystąpić do komunii?

— Jeżeli uczynisz przedtem szczerze wszystkie akty, to oczywiście. A teraz bij się w piersi.

Kłos odszedł od konfesjonału zupełnie oszołomiony. „Mam odpuszczone wszystkie grzechy, wszystkie!“ — powtarzał sobie w upojeniu. Czuł wtedy zaprawdę mocne postanowienie poprawy życia. Modlił się jak wniebowzięty. A gdy odchodził z rozpływającym się komunikantem w ustach, zdawało mu się, że nigdy w życiu nie był tak szczęśliwy.

Po wyjściu z kościoła natychmiast kupił sobie różaniec i zaczął go odrazu odmawiać, ukrywszy paciorki w lewym rękawie. Czuł się z nim bezpieczniejszy, niż z rewolwerem w dłoni. Wierzył też, że wszystko dlań teraz weźmie inny obrót.

Rzeczywiście na posterunku pierwszą osobą, którą spotkał, był komendant Schwick. Rzucił się on do Kłosa z rozjaśnioną tłustą twarzą.

— Nanu, Franek, to ciebie jeszcze nie zdmuchnęli?

— Jak pan komendant widzi.

— A czemu ciebie wczoraj nie było?

— Byłem chory, panie komendancie.

Chory? A kto cię tak w ryja zamalował?

Kłos ukazał w uśmiechu swoje białe zęby.

— Przecie to sam pan komendant.

— Ha, ha, ha! — ryczał grubas, klepiąc go z całej siły w łopatkę.

— Ty jesteś dzielny chłopak! Tylko ty jeszcze musisz zrozumieć, co to jest befel. Na, ale to już ja cię nauczę!

Koledzy również ustosunkowali się do Kłosa bardziej życzliwie. Być może zawdzięczał to Drozdowi, odznaczającemu się nabożnością, a który widział go był, jak przystępował do komunii.

Od tego czasu Kłos zmienił się zupełnie. Nikt już więcej nie słyszał o jego nadużyciach, czy morderstwach. Przestał też pić. Nie brał do ust kropli alkoholu, nawet piwa. Natomiast niemal codziennie można go było spotkać w kościele. Chodził zawsze cichy, milczący, jakby zgaszony, jak to zwykle dzieje się z alkoholikami, czy narkomanami, którzy rozpoczęli walkę ze swym nałogiem. Wróciła mu też dbałość o wygląd zewnętrzny. Jego wygolone policzki miały odcień szafirowy. Nigdy się też nie śmiał, ani nie uśmiechał, co zresztą również wychodziło mu na korzyść, jak już bowiem miałem sposobność nadmienić, uśmiech jego nie był ujmujący.

Wszystko to sprawiło, że ludzie zaczęli potrosze zapominać o jego zbrodniach. W pierwszym rzędzie przyczynił się do tego jego kolego, Drozd, który, o ile przedtem nie miał dlań słów potępienia, to teraz bronił go przy każdej sposobności.

— Zawsze mówiłem — dowodził kiedyś u Chomińskiego — że jest to chłop w gruncie rzeczy dobry. Przecie wszyscy znamy jego ojca i jego matkę, i nikt im niczego zarzucić nie może. Tacy ludzie nie mogli wychować zbrodniarza. A czym korupka za młodu nasiąknie, tym na stałość trąci. To też i w nim odezwały się zasady chrześcijańskie, w jakich go wychowano, jak tylko brakło tego złego ducha, Kranca, który go wodził na manowce.

Obecny przy tym komendant Korszun zrywał z powątpiewaniem swoją szpakowatą głową, uśmiechając się jakby drwiąco.

Drozd skoczył ku niemu zacietrzewiony.

Stanisław Rembek

Wyrok na Fran

— Pan komendant nie wierzy?

— Niby w co?

— Że Kłos się nawrócił?

— A mnie co to może obchodzić? Nie jestem misjonarzem wśród ludożerców, tylko policjantem.

— Ale jest pan także chrześcijaninem! — wybuchnął Chomiński zza kontuaru.

Oparł się na stole obu łokciami i wysunął na izbę swoją łysą czaszkę oraz olbrzymie wąsy.

— No, więc cóż z tego?

— To z tego, że każdy chrześcijanin powinien wyciągnąć dłoń do skruszonego grzesznika i pomóc mu wejść na dobrą drogę.

— I cóż mu przyjdzie z mojej dłoni? — zaśmiał się komendant.

Śmiech jego był tak prowokujący, że już i ja nie mogłem wytrzymać.

— Czy komendant nie jest zdania, że obowiązkiem chrześcijanina jest wybaczenie uraz, a nawet choćby najcięższych krzywd?

Korszun przyjrzał mi się uważnie, jakby mnie ujrzał po raz pierwszy w życiu. W jego siwych oczach czaiło się coś, jakby szyderstwo.

— Owszem, uważam — mówił z irytującym lekceważeniem. — Ale nie wiem, co może mieć piernik do wiatraka. Kłos mi nigdy żadnej krzywdy nie zrobił i nie mam mu nic do przebaczenia.

— Ale naród... państwo... Jako obywatel...

— Nikt mi nigdy nie dawał prawa przemawiania w imieniu narodu, czy państwa.

— No, a gdyby pana powołano na członka sądu nad Kłosem?

—Po pierwsze jakiś tam sąd nad Kłosem już się odbył i nawet wydał na niego jakiś wyrok. Pokazywał go przecie nam wszystkim. A po wtóre... uważam... że prawdziwy chrześcijanin ma prawo i nawet powinien przebaczyć swoje krzywdy, ale nie ma najmniejszego prawa darować zbrodni przeciwko własnemu narodowi. Sędzia - chrześcijanin może przebaczyć zbrodniarzowi, który zamordował mu choćby rodzoną matkę, ale ten sam sędzia będzie nikczemnikiem, jeśli wypuści na wolność przestępcę, który krzywdził innych, a którego stawiono do ukarania.

— Ale przecież każdy obywatel może mieć swoje przekonania. Kiedy znowu będzie Polska...

Naraz komendant Korszun zerwał się na równe nogi. Wyglądał strasznie. Szpakowata czupryna zjeżyła mu się nad czołem, grube rysy wykrzywił grymas jakby wściekłości, przekrwione oczy świeciły się jak rozżarzone węgle. Raz po raz zaczął walić pięścią w stół.

Nie będzie Polski! Nigdy nie będzie żadnej Polski!... Czy Niemcy wygrają, czy przegrają — nie będzie Polski! Czy tu przyjdą Sowiety, czy Anglicy, czy diabły — nie będzie Polski! Nie może mieć niepodległości naród, gdzie zdrajcy zawsze cieszyli się i cieszą zupełną bezkarnością, naród, który wybaczał Radziejowskim, Bogusławom Radziwiłłom, Ponińskim, targowiczanom. Bo zawsze znajdą się dziesiątki tysięcy Kłosów, którzy pójdą na własnej ziemi w służbę obcych...

Zachłysnął się i oprzytomniał. Następnie potoczył po nas krwawym wzrokiem i dokończył całkowicie zmienionym chrapliwym półgłosem.

— Zresztą co mnie to wszystko obchodzi? Jestem policjantem i mam obowiązek słuchać zwierzchników, a moim najwyższym zwierzchnikiem obecnie jest generalny gubernator Franck.

Odwrócił się i wyszedł, nie żegnając się z nikim.

— Co mu się stało? — zapytał przerażony Chomiński. — Dlaczego on tak nienawidzi tego Kłosa?

— Musi w tym coś być — powiedział w zamyśleniu inspektor Czereśnicki.

— Podobno Korszun jest Ukraińcem — wtrąciłem.

— On jest taki Ukrainiec, jak pan i ja — odrzucił posterunkowy Drozd.

Bądź co bądź Kłos zaczął powoli odzyskiwać sobie serca wszystkich. Chodził teraz wszędzie coraz spokojniejszy i bezpieczniejszy. Niedługo wogóle zapomniano by o jego zbrodniczej przeszłości, gdyby nie zaszły nowe straszliwe wypadki, które wstrząsnęły opinią naszego miasta i znowu skierowały ją przeciw niemu.

XVII

Rozbite na froncie wschodnim oddziały niemieckie wycofywano dla uzupełnienia i reorganizacji przeważnie w nasze strony. Do Niemiec właściwych nie puszczano ich pod żadnym pozorem. Żołnierze tych oddziałów byli całkowicie zdemoralizowani. Mundury mieli pomiętoszone, poplamione, poobrywane. Chodzili hałaśliwi, porozpinani niedbale, czasami nawet w rannych pantoflach. Słowem, w niczym nie przypominali butnych żołdaków pruskich, do jakich przywykliśmy. Jedynym ich zajęciem początkowo zdawało się być wałęsanie po restauracjach, sklepach, nawet po domach prywatnych. Skwapliwie bratali się z każdym, kto pozwolił im się do siebie zbliżyć, szerząc przesadne wieści o własnych klęskach i przy każdej sposobności powtarzając: „Deutschland kaputt!“. Poza tym handlowali, gdzie się tylko dało, wyprzedając zrabowane i zdobyte łupy, a żądając w zamian wódki —i czekolady. Wódkę, przeważnie w postaci samogonu, dostawali łatwo, natomiast o czekoladzie nie było u nas mowy. Oburzało ich to niesłychanie, na froncie bowiem otrzymywali podobno stałe jej przydziały.

Głównym ogniskiem tego swoistego handlu stała się Warszawa, a mianowicie olbrzymi plac, powstały po zbombardowanym doszczętnie starym dworcu kolejowym. Zbierały się tam tysiące i dziesiątki tysięcy handlujących. Stamtąd też przyszła wieść radosna, a wstrząsająca: Niemcy sprzedawali również broń! Opowiadano na ten temat fantastyczne historie. Podawano wypadki kupna ciężkich karabinów maszynowych, armatek przeciwpancernych, a nawet działa przeciw-

---

Z TEATRÓW

„Dwa teatry“ Jerzego Szaniawskiego w Teatrze Powszechnym.

Warszawiacy, jak wiadomo, nie boją się żadnego ryzyka, a dyr. Poreda jest z krwi i kości warszawiakiem. Wbrew niepowodzeniu „Dwóch teatrów“ w Krakowie, wziął sztukę na warsztat i zaprosił autora na premierę i uroczystą popremierową fetę, by Mu dowieść najnamacalniej, że powód krakowskiej porażki nie tkwił bynajmniej w samych „Dwóch teatrach“. Równocześnie z dyr. Poredą poszedł na podobne ryzysko teatr katowicki i wystawił „Dwa teatry“ w reżyserji takiego majstra, jak Edmund Wiercińki. Oba bezspporne sukcesy sztuki warszawski i katowicki, dają Szaniawskiemu pełne zadośćuczynienie, bijąc rykoszetem w krakowskie partactwo. Słowo się rzekło, partactwo. Czyżby atmosfera „Odrodzenie“ aż do tego stopnia nie służyła naszym ongiś Atenom (Nowaczyński podsuflował by: małym Atenom), że zmieniają się nie powolutku w artystyczną Abderę?

Jerzy Szaniawski nie należy do pisarzy łatwych — mimo pozorów łatwości — zrozumiałych dla przeciętnego zjadacza chleba teatralnego. Istotnie, nabył z biegiem lat zręczności zdumiewającej w budowaniu konstrukcyj dramatycznych — znowu: napozór — przejrzystych i operuje środkami wyrazu, sprowadzonymi do doskonałej prostoty. Lecz, okazuje się, przejrzystość faktury, prostolinijność postaciowania i gospodarki w perypetiach, owa, powiedzmy, naturalistyka tworzenia, charakterystyczna dla Szaniawskiego, nie może wystarczyć tam, gdzie w błękicie pół-jawy i pół-bajki wymyka się widzowi lotna dusza dzieła wgłąb zagadki, której rozwiązanie twórca dyskretnie utrudnia. Nie chcę przypisywać Szaniawskiemu jakiejś osobnej i osobliwej kokieterii metafizycznej; nie, tej nie widzę, bo jej niema. Jest w Szaniawskim tylko przesubtelnienie, dziewicza trwoga przed odsłonięciem duszy dzieła — własnej duszy wobec profanów i szyderców, od których się roi ten zmaterjalizowany do gruntu swiatek. Szaniawski tworzy z pasji wewnętrznej: czuje nieomylnie, że jego twórczości potrzebują wybrań. Wybrań zaś — choćby czasem — zagadują i do własnej duszy. Innych pociągnie napewno czas zewnętrzny bajki życia, w którym wszystko układa się ładniej i inaczej i nad zwykłe pojęcie.

Bajak o Psyche? Bajka o Psyche, à rebours, bo u Szaniawskiego kaganek ciekawości pali Miłość przed obliczem

ciszka Kłosa (12)

lotn czego. Wśród młodzieży zawrzało Wszscy teraz garnęli się do poskromionych zdobywców wschodu w nadziei zdobycia tak upragnionego oręża. Wielu udawało się to rzeczywiście, wielu jednak padało ofiarą prowokacji ze strony gestapo.

Jedna z takich prowokacji na większą skalę zdarzyła się w Lemieszowie, oddalonym o jakieś dwadzieścia kilometrów koleją od naszego miasta. Ofiarą jej padło kilku robotników, którzy pertraktowali w sprawie nabycia karabinu maszynowego. Wszczęte przez gestapo śledztwo wykazało, że nie był to już pierwszy tego rodzaju handel i że zdobytą w ten sposób broń wysyłano właśnie do Brodni, skąd wywożono ją samochodami wojskowymi aż do Łodzi, dla jakiejś organizacji komunistycznej. Centrala ta w naszym mieście znajdowała się w dzielnicy robotniczej, na przedmieściu, zwanym Gliniankami. Gestapowcy, którzy tam wpadli, nie zastal już jednak nikogo oprócz gospodyni, jej trzynastoletniej córki oraz służącej. Oczywiście wszystkie te osoby zamordowali na miejscu. Od tego czasu codziennie na Gliniankach odbywały się rewizje i aresztowania.

Pewnego wczesnego, a nader pogodnego i pięknego poranka październikowego wybrał się tam komendant Schwick wraz ze swym nieodłącznym psem oraz z trzema żandarmami, z których jeden uzbrojony był w pistolet maszynowy. Zdaje się, że chodziło o jakieś doniesienie. Dzielnica, składająca się z istnego labiryntu małych uliczek i zaułków, była zupełnie pusta, działo się to bowiem w niedzielę. Dopiero po dłuższym błądzeniu patrol ujrzał jakiegoś wąsatego mężczyznę około pięćdziesiątki, o wyglądzie robotnika, który stał przed furtką ogrodzonego zielonego domku. Schwick skierował się do niego.

— Hallo! Gdzie tu będzie ulica Szwoleżerów?

Mężczyzna nie odpowiedział. Uważnie spod półprzymkniętych powiek przyglądał się otaczającym go żandarmom, z których jeden, niby odniechcenia, skierował doń lufę swego rozpylacza. Wrażenie z tego przeglądu nie było widocznie korzystne, bo nagle robociarz błyskawicznym ruchem wydobył zza pazuchy pistolet i zaczął strzelać raz po raz, nim zaskoczeni Niemcy zdołali wykonać jakikolwiek ruch. Musiał on mieć nielada wprawę w tego rodzaju rozprawach, gdyż wyniki jego strzelania były nieprawdopodobne: Schwick, jego pies oraz dwaj żandarmi zginęli na miejscu — trzeci, ten z rozpylaczem, został tak ciężko ranny, że umarł w dwa tygodnie później w szpitalu wśród strasznych męczarni.

Ale i dla naszego miasta skutki tego zajścia okazały się opłakane.

W tym czasie właśnie Niemcy skończyli już całkowicie z taktyką pozyskiwania sobie Polaków, przekonali się bowiem, że nie uda się nas zwerbować przeciw Rosji Sowieckiej. Owszem, coraz bardziej właśnie szerzyły się wypadki wysadzania przez partyzantów mostów i torów kolejowych oraz napady na pociągi i na różne instytucje gospodarcze okupantów. W miastach i miasteczkach ciągle wystrzeliwano co wybitniejszych ciemiężycieli spośród administracji oraz wsławionych szczególnym okrucieństwem funkcjonariuszy policyjnych.

Zaczęto więc stosować odwet, oczywiście odwiecznym obyczajem niemieckim nie na właściwych sprawcach zabójstw, których niezmiernie rzadko udawało się pochwycić, tylko na spokojnej ludności. Nazywano to początkowo walką ze wspólnym wrogiem Polaków i Niemców, komunistami oraz desantowcami sowieckimi. Całymi partiami wieszano ochrzczonym tym mianem nad torami kolejowymi. Wreszcie porzucono i ten pozór. Znowu powrócono do starej nazwy „polskich bandytów“. Zaczęły się masowe rozstrzeliwania publiczne, które w Warszawie odbywały się codziennie, a na prowincji od czasu do czasu. Tylko, że już nie mordowano nas bezkarnie, jak w pierwszych latach wojny. Każdy mord karany był przez wystrzeliwanie jego sprawców, lub wykolejaniem pociągów „Nur für Deutsche“, wożących dygnitarzy hitlerowskich i ich rodziny. Hasło: „Nie damy się wymordować bezbronni, jak Żydzi!“ — było na ustach wszystkich. Zaczęło się tedy mordowanie wzajemne. Oczywiście bezsprzeczną przewagę w tych sprawach mieli Niemcy, i było jasne, że jeśli wojna nie skończy się szybko ich przegraną — naród nasz czeka całkowita zagłada.

Tak więc już w kilka godzin po zastrzeleniu Schwicka i trzech żandarmów przybył z Groszkowa autokar pełen uzbrojonych „katyniaków“. Tak nazywano u nas rezerwę żandarmerii, która używana była do masowych egzekucji. Składało się ona z zawodowych przestępców, głównie Ukraińców. Umundurowana była na wzór zwykłej żandarmerii, z tą różnicą, że zamiast brunatnych miała kołnierze zielone.

Katyniacy udali się natychmiast na Glinianki, a w pierwszym rzędzie do domu, przed którym dokonano zabójstwa. Zastali tam już tylko głupkowatą służącą, którą zastrzelili na miejscu, jak tylko im otworzyła drzwi. Była to w takich wypadkach dziwna zasada niemiecka, żeby zabijać tych, którzy im otwierają. Oprócz tego zamordowano jeszcze jakąś nieustaloną liczbę osób, same kobiety i dzieci, gdyż mężczyźni ukryli się przezornie, z całą polską naiwną wiarą w rycerskość swych wrogów, pozostawiając w domach swoje żony i potomstwo. Trudno, każdy sądzi po sobie.

W noc przybyło gestapo i zaczęły się aresztowania. Inspektor ubezpieczeń od ognia Czereśnicki oraz sekretarz magistratu Śmietanka, których na dwa tygodnie przedtem wypuszczono na wolność, przezornie nie nocowali w domu, uniknęli też ponownego uwięzienia. Natomiast w ręce niemieckie dostał się restaurator Chomiński. Był on przedtem zwolniony najpierw ze wszystkich na skutek grubej łapówki, i teraz widocznie zaufał potędze swoich pieniędzy.

W dwa dni później na murach kamienic, na słupach ogłoszeniowych oraz w szafkach dla ogłoszeń urzędowych ukazały się obwieszczenia, że „na skutek mnożących się zbrodniczych napadów na osoby narodowości niemieckiej“ w naszym mieście, a zwłaszcza „ohydnego mordu, dokonanego przez nikczemnego i tchórzliwego zbrodniarza na czterech żandarmach, dla dania satysfakcji narodowi niemieckiemu, sąd policyjny postanowił ukarać śmiercią przez rozstrzelanie trzydziestu polskich bandytów“. Następowała lista skazanych. Największe wrażenie wywarły na nas nazwiska kierownika Rządca oraz restauratora Chomińskiego. Uderzał brak starego Kłosa, o którym wszelki słuch zaginął. Czyżby w tym wypadku Niemcy kierowali się jakąś nieśpodziewaną u nich delikatnością w stosunku do Franka?

Początkowo pokpiwano szyderczo z tej nieprzytomnej wściekłości niemieckiej, zwłaszcza z ich barbarzyńskiego braku wstrzemięźliwości w doborze okrucieństw.

— „Tchórzliwy zbrodniarz“ — mówiono. — Trzeba nielada tchórza, żeby samemu i tylko z pistoletem rzucić się na czterech żandarmów, uzbrojonych w karabiny i rozpylacz.

— Albo ten „ohydny mord“ Czy mogą być ohydniejsze mordy, jak te, których Niemcy dopuszczali się na kobietach i dzieciach żydowskich, a poza tym stale uprawiają w obozach koncentracyjnych?

— Nie, oni w tym widzą tylko wzniosłą i ofiarną pracę „für Führer und Vaterland“.

Gdy jednak przyszedł dzień egzekucji, na miasto zapadło przygnębienie. Wszyscy poukrywali się w swych domach, sklepy również były pozamykane. Po pustych ulicach rozbijały się jedyne patrole „katyniaków“. Stałym zwyczajem byli oni całkowicie pijani i strzelali do każdego napotkanego przechodnia. W ten sposób koło posterunku żandarmerii zastrzelono dwóch mężczyzn, koło szpitala jednego i koło dworca również jednego. Podobno troje ludzi zastrzelono jeszcze na drogach okolicznych. Na szczęście spośród zamordowanych nie było ani jednego obywatela naszego miasta: wszystko to byli obcy przybysze, którzy nie wiedzieli, co się u nas święci.

Kłos początkowo zlekceważył obwieszczenia. Jego odrodzenie duchowe dało mu jasny pogląd na świat i ufność, że wszystko musi iść ku lepszemu.

— Strachy na Lachy — mówił nam w Gospodzie Chomika z miną wtajemniczonego. — Zobaczycie, że wszystko się skończy tak samo, jak po śmierci Wintera.

Chwytaliśmy jego słowa łapczywie, jako pokarm dla zamierającej nadziei, chociaż niektórzy kiwali na nie z powątpiewaniem głowami.

Owego pamiętnego dnia, najokropniejszego chyba w dziejach naszego miasta, Kłos został wysłany do Suchej Woli w sprawie kradzieży wieprzka, przeznaczonego na kontyngent. Jego pewność siebie wzrosła do tego stopnia, że udał się tam sam jeden, uzbrojony w karabin i rewolwer. Na wszelki jednak wypadek od przystanku kolejki nie poszedł drogą, tylko miedzami, odmawiając różaniec.

Fikcyjne kradzieże bydła i nierogacizny, przeznaczonej na kontyngenty, były u nas na porządku dziennym. Stanowiło to jedną z form sabotażu wobec władz okupacyjnych. Kłos wiedział o tym dobrze i dawniej napewno by nie puścił tego płazem, teraz jednak ku zdumieniu „poszkodowanego“ gospodarza poprzestał tylko na spisaniu protokółu.

Dopiero wysiadłszy w drodze powrotnej na Rynku spostrzegł, że miasto jest niepokojąco puste i że na rogach ulic stoją podwójne posterunki żandarmów. Pod szedł do znajomego żandarma, Kursza Był to folksdojcz, syn kolonisty spod Piotrkowa.

— Co się tu stało?

— Nic się jeszcze nie stało — wyszczerzył w radosnym uśmiechu swe spróchniałe rzadkie ząbki Kursz. — Dopiero niedługo się stanie. Będą tu szlachtować pół kopy polskich świń. Ty też uciekaj bo jak mi się spodoba, to cię zastrzelę na miejscu.

Był zupełnie pijany i język mu się plątał.

(D. c. n.)

---

płochliwej Psychy i Psyche od niej wciąż ucieka, lżejsza od motyla. Kolejne warianty tej bajki, „Papierowy kochanek“, „Lekkoduch“, „Ptak“, „Żeglarz“, „Adwokat i róże“, „Fortepian“, „Krysia“, nasuwają pytanie w jakim urodziła się klimacie, z czego wyrosła, z zadumy filozofa, czy z marzenia poety? Przychylmy się do pierwszej koncepcji. Wtedy uderzy nas paradoks: zaduma Szaniawskiego ma duszę, duszę dziwną, o objawianiu się niemalym, w mistycznym chiaroscuro, niby u prymitywów, pełną po brzegi tęsknoty do poezji. I nigdzie nie uderzy nas to silniej, niż w ostatniej sztuce, „Dwóch teatrach“ w której Szaniawski rozszyfrowuje wreszcie hieratyzm całej swojej twórczości i w jej obronie łagodnie atakuje niedowarzenie naszych zakutych materialistów.

Co zrobiono z „Dwóch teatrów“ u dyr Poredy?

Widowisko harmonijne i czyste, o dużej ekspresji. Zasługa w tym reżysera. Nie wątpię, że p. Janowi Kochanowiczowi, reżyresowi, niezmiernie się przydały dawne doświadczenia redutowe, ale sądzę nadto, że bez rozwiniętej przezeń samodzielnie rozwagi artystycznej i inwencji, bez wrodzonej kultury i poczucia granicy między bezpiecznym i niebezpiecznym eksperymentatorstwem na scenie, praca, która włożył w „Dwa teatry“, obróciłaby się na marne. Nie zgubiwszy najdrobniejszego półtonu, zsymfonizował grę aktorów, dbały zarazem, by nigdzie nie zatrzeć barw indywidualnych. Sens, o który chodziło Szaniawskiemu, wydobył jasno. Za jego przykładem — (zagrał szlachetnie rolę dyrektora teatru rzeczywistego) — artyści, pp. Jerzy Block, Mieczysław Pawlikowski, Izdebski, Tkaczyk, Stanisława Kawińska, Wanda Szczepańska, Hanna Bielska, stworzyli postaci o rysunku równie szlachetnym. Wyróżnił się niedoścignony mistrz Józef Zejdowski, jako pyszne factotum, skopiowane aktorsko z popularnego w MTD woźnego dyrekcji, i p. Konrad Morawski, jako ojciec w jednoaktówce „Powódź“. Rzetelny i wielostronny talent p. Morawskiego dopomina się zadań znacznie wyższej rangi.

Chybiła p. Jasnorzewska, jako Lizelota. Rola nie pasuje absolutnie do jej możliwości.

Dekoracje p. Jana Golusa, na dobrym poziomie, acz „ściągnięte“ do ram jeszcze za kusej przestrzeni scenicznej.

„Dwa teatry“ obudziły żywe echo. Bal Klub sprawozdawców teatralnych urządził wieczór dyskusyjny z popisami zwolenników i przeciwników twórczości Szaniawskiego. Trudno mi stwierdzić, że impreza była celowa.

Janusz Kawecki

Tydzień kulturalny

STO NUMERÓW „TYGODNIKA POWSZECHNEGO“

NAJPOWAŻNIEJSZE z tygodniowych pism społeczno - kulturalnych—krakowski „Tygodnik Powszechny“ — obchodzi uroczystość wydania setnego numeru. „Prawem czytelników i opinii jest przy tej okazji sądzić nasze dzieło“ — pisze jeden z redaktorów w artykule wstępnym. Korzystając z tego moglibyśmy wydać sąd o „Tygodniku Powszechnym“, ale ponieważ nasz stosunek do tego pisma jest zbyt znany, aby przy tej okazji raz jeszcze podkreślić naszą życzliwość i uznanie dla tego pokaźnego wkładu, jaki „Tygodnik Powszechny“ wniósł do całokształtu kultury Polski powojennej, ograniczamy się tylko do złożenia naszych życzeń. Nie zamierzamy precyzować wartości wniesionych przez „Tygodnik Powszechny“ do walki o Nową Polskę, gdyż nie chcemy aby rzeczywistą ich ocenę rozpłynęła się w werbalnych i zdawkowych pochwałach. A w paru kruchych słowach tego zagadnienia ująć nie sposób.

Dlatego też — jak już wyżej podkreślaliśmy — ograniczamy się do stwierdzenia faktu ukazania się stu numerów „Tygodnika Powszechnego“, składając jednocześnie pismu, redakcji i wszystkim jego współpracownikom nasze serdeczne życzenia — ad multos numeros!

SOWIŃSKA PRZECIW B. OFICEROM AL

NA łamach „Głosu Ludu“ publikuje swoje wspomnienia p. t. „Lata walki“ niejaka p. Sowińska, b. oficer sztabu AL. Nie zamierzamy rozpatrywać wartości literackiej tego dzieła, wydaje się nam jednak, że sama redakcja powinna zwrócić uwagę na niehlujności i prymitywy stylistyczne, jakim te wspomnienia są przepojone. Nas jednak obchodzi zupełnie co innego. Wspomnienia wprawdzie są pamiętnikami prywatnej osoby, a nie — na szczęście — oficjalną wypowiedzią sztabu AL, lecz mimo tego, skoro autorka podpisuje się jako oficer tegoż sztabu, to i my, mamy prawo wymagać poważnego ustosunkowania tego zagadnienia. Bo przecież dziś, już po dwóch przeszło latach od zakończenia walk, po zatarciu pewnych urazów i fałszywych pojęć — kogo jak kogo — ale oficera sztabowego AL powinna cechować choćby minimalna doza obiektywnego spojrzenia na tamte odeszłe już lata walk. P. Sowińska kreśląc swoje naiwniutkie wspomnienia, zapomina o t. zw. braterstwie broni o czym np. nie zapomnieli jej dawni koledzy, wnosząc na ręce Prezydenta Bieruta list w sprawie ułaskawienia płk. Rzepeckiego.

Oto p. Sowińska (nie biorąc już pod uwagę pewnych reklamiarskich chwytów i nie uznawania proporcji w wartościowaniu wydarzeń) pozwala sobie na takie — ni mniej ni więcej — komentowanie działalności wojskowej AK:

„Akcje te szły jednak po linii najmniejszego szkodzenia Niemcowi z wojskowego punktu widzenia, szły tylko po linii likwidacji jednostek i efektownych wystąpień. Wyrazem tego była bardzo efektowna akcja likwidacji kata Warszawy, która w rzeczywistości jednak nie wyrządziła Niemcom żadnej faktycznej szkody“ („Głos Ludu“ nr. 33/778).

Natomiast grupa b. wyższych oficerów AL nieco inaczej ocenia tę działalność, pisząc w liście do Prezydenta Bieruta:

„Takie akcje żołnierskie AK jak likwidacja Kutschery i uwolnienie więźniów przy Arsenale, były dla nas wszystkich przykładami walki z najeźdźcą“. („Głos Ludu“ nr. 34/779).

To oświadczenie byłych kolegów p. Sowińskiej aż nadto dobitnie demaskuje wartość jej wypowiedzi. Niby mała rzecz, a wielki wstyd!

DOBRACZYŃSKI NA URLOPIE

REDAKTOR Dobraczyński wyjechał na kilkotygodniowy pobyt do Paryża i do Rzymu dla nawiązania kontaktu z przedstawicielami katolickiej literatury włoskiej i francuskiej, oraz dla załatwienia sprawy przekładów swoich książek.

Jednocześnie ukazuje się w handlu drugi i ostatni tom „Najeźdźców“, którego ukazanie uległo zwłoce na skutek trudności drukarskich.

SZANSA, KTÓRA MUSI BYĆ WYGRANA

(Dokończenie ze str. 3-ej)

Jest to fakt socjologiczny, w który obfituje życie ziem zachodnich niewspółmiernie więcej, niż terenów centralnych.

Ludzie pracy i czynu są mniej głośni, ich działalność mniej rzuca się w oczy. Dokonali bardzo wiele, ale obok prawdziwie solidnej pracy, obok dymiących fabryk i kwitnących pól, leży jeszcze w wielu miejscach cień koniunkturalisty powojennych czasów przemian. Jest to typ ahistoryczny, akulturalny, w hedonizmie swym kosmopolityczny. Rekrutuje się przeważnie z tych, którzy w pogoni za łatwym łupem przybyli tam najwcześniej. Bez trudu zajął, (często niejedno), bogate mieszkanie, dobrze zaopatrzony sklep, zamożne gospodarstwo, lub odpowiedzialną posadę. Konieczność natychmiastowej rozbudowy aparatu państwowego nie pozwalała na selekcję. Niekompetencja pracowników odpowiedzialnych urzędów przybierała zastraszające rozmiary na pewnych odcinkach. Potem zaczęli przybywać coraz liczniej nowi osadnicy, często bardziej wykwalifikowani i przenikali do administracji. Obawa przed konkurencją zmusiła „dawniejszych" urzędników do pracy, dla utrzymania się na pozornie źle opłacanej, lecz dającej nieraz doskonałe możliwości ubocznych zarobków, posadzie. To spowodowało, że rywalizacja zmniejszyła niekompetencję, wyeliminowała tych, którzy nie sprostali aktualnym zadaniom, że „szaber" nabrał cech wtajemniczenia,

Ale czy motywy ich zmieniły się w czymolwiek?

Dziś mimo ogromnego postępu dla bardzo wielu pozostają one te same. Okupuje się je tylko coraz większą pracą i ukrywa świadomością sankcyj.

Nadal w urzędach dolnośląskich spotyka się typ człowieka, który konsekwentnie dąży do zdobycia majątku i utrwalenia władzy pod pokrywką interesów partyjnych, czy też odbudowy państwa. Zastanawiająca jest właściwa świeżej krwi jego dynamika oraz logika dążeń, zarówno jak zanik zmysłu etycznego.

Prawem posługuje się, gdy bezprawie innych można wykorzystać dla własnej kieszeni, którą opróżnia nadzwyczaj szybko, naśladując stylem „zabawy" epokę Saską. Żyje poza czasem, poza kulturą, poza wszelką ideą. Przeszłość, dawne środowisko, regionalne tradycje, zostawia poza sobą. Nie pociągają go one refleksami ubóstwa, rażą zestawieniem z dzisiejszym dobrobytem. Zrywając z nią uczuciowo, staje się nieświadomym współczynnikiem nowego, niezależnego od ciśnienia historii, społeczeństwa. I mimo, że przyswaja sobie szybko techniczne zdobycze cywilizacji, sens istnienia, wartości kulturalne, cały dorobek ludzkiego ducha, stoją zamknięte przed nim, jak dawniej, jak przed wojną.

Wyż cywilizacyjny terenów przyłączonych, będący nota bene produktem nie polskiej pracy, nie może przesłaniać prawdy jedynej — prawdy o człowieku.

Trzeba czym prędzej wydostać się z dżungli współczesnego barbarzyństwa, której kępy krzewią się bujniej nad Odrą, niż jakąkolwiek inną, z polskich rzek.

Akademię śląską, instytuty naukowe, teatry i wydawnictwa rzucają refleksy kultury w małym tylko promieniu. W mrokach ukrywa się bolesna niedola repatriantów, bądź autochtonów, wzrasta pijaństwo, życie zbiorowe kształtuje szaber i chamstwo.

Na obcenej rzeczywistości polskiej spoczywa obowiązek wychowania nowych ludzi na naszych ziemiach.

Łatwość, z jaką zapisują się do partii, niech nie łudzi nikogo, że wynika ona z woli służenia idei. Trzeba, by miarodajne czynniki spenetrowały życie prywatne i rozróżniły motywy od pozorów. Bo sama odbudowa na odcinku produkcji nie wystarczy. Inaczej wkrótce zabraknie nam sił. Bez drapieżnej walki o człowieka nie wygramy walki o Ziemie Odzyskane.

Nie można pomijać milczeniem jasnych stron naszego osadnictwa. Znojnej pracy nielicznego jeszcze na Zachodzie polskiego robotnika, niezłomnej woli przetrwania naszego chłopa, walczącego czasem o kulturalne zdobycze repolonizacji — nteligenta.

Duża ich część zdała swój egzamin obywatelski w pocie czoła. Niezależnie od podstaw ideologicznych stanowiła awangardę polskiego czyn-

V. AUTOCHTONI

O autochtonach pisano wiele i wszechstronnie. Warto tylko marginesowo przypomnieć, że udział świeżo kreowanych „Polaków" w negacji trzeciego pytania referendum, jako ogólnie dowiedziony, stwarza sui generis zagadnienie na przyszłość, które winno być rozwiązane szybciej i radykalniej, niż dotąd. Wydaje się jednak, aby czynniki miarodajne przeprowadziły ponowną weryfikację za pomocą bardziej ideowego, niż poprzednio, aparatu, pamiętając przy tym, że akcja taka pociąga za sobą już tym razem poważniej pojętą odpowiedzialność wobec tych, którzy istotnie do polskości pragnęli powrócić.

Przyjęcie na siebie tych konsekwencyj wymaga jednak przeprowadzenia takiej selekcji, która nie zadowoli się samą metryką, lecz na podstawie dwuletnich danych o stosunku poszczególnych jednostek do Polski i polskości, wyznaczy linię podziału.

Obowiązujące do tej pory kwalifikacje rehabilitacyjne nasuwają pewne wątpliwości. Wielu bogatych Niemców, zamieszkujących miejscowości kuracyjne, dzięki lokalnym stosunkom, w które tak trudno jest nieraz wejrzyć władzom centralnym, posiada obecnie paszporty polskie, cudzoziemskie lub żydowskie i nadal korzysta ze wszystkich uprawnień obywatelskich: nadal mieszka w swoich willach, posiada własność i robi kokosowe interesy na pośrednictwie. Tylko część pracuje w instytucjach państwowych, reszta zasłania się fikcyjnymi papierkami, których wartość poznaliśmy sami dostatecznie dobrze w okresie okupacji.

Zadziwiająca w tym zjawisku jest zarówno psychologia inteligenta niemieckiego, jak i motywy, którymi kierują się czynniki miejscowej administracji wobec tego typu „autochtonów". Byłoby złudzeniem sądzić, że nikczemna postawa narodowa tych Niemców jest pozbawiona wszelkich cech świadomej diaspory politycznej.

Nawet fakt, że olbrzymia większość inteligencji niemieckiej została już dawno ewakuowana, że pozostali stanowią znikomą mniejszość, w niczym nie tłumaczy łatwości, z jaką dolnośląskie urzędy szafują polskim obywatelstwem.

VI. REPATRIANCI

Proces kolonizacji Ziem Odzyskanych trwa. Płyną jeszcze coraz mniejszymi falami ludzie kresów z opuszczonej jeszcze niedawno ojcowizny. Inni wracają po latach do zmienionego wydarzeniami kraju, aby swe strudzone życie zacząć od nowa.

Do koniunkturalnych i faktycznych sił rewolucji, do katolickich kierunków pracy organicznej, jak i romantycznych, czy nieromantycznych mocy negacji, przybywa element specjalnie odmienny. Przez najgłębszą w swym nierozumowaniu polskość, przez najufniejszą w swej prostocie wiarę, jak i największy upór pracy. Cechy te wyrzeźbiła w nim historia i natura. Im obu pozostali wierni zabużanie. Fakt, że ostali się wiekowym zakusom rusfikacyjnym oraz tradycja walki o Wschód, predestynują ich do odegrania analogicznej roli na nowych kresach nadodrzańskich. Ich wkroczeniu do nowoczesnej cywilizacji i technicznej gospodarki trzeba nadać głęboki sens duchowy.

Nie wystarczą tutaj teoretyczne rozważania na temat dobrodziejstw, płynących z zamiany Wschodu na Zachód, ani barwne transparenty, witające kresowian na szlakach repatriacji. Nie pomoże tutaj propaganda produkcji przemysłowej i rolniczej. To, co przekonało ośrodki prężne gospodarczo do tej konieczności dziejowej, nie zwiąże emocjonalnie Zabużan.

Trzeba w drodze planowej, gruntownie przemyślanej repatriacji, wciągnąć kresowian do dzieła odbudowy. Rząd winien uwzględnić odmienność materiału ludzkiego, jakim dysponuje. Jest dowiedzione, że repatrianci asymilują się znacznie wolniej w zmaterializowanym życiu Zachodu. Przybywają najpóźniej, podczas, gdy inni z okolic często niezniszczonych, dawno zajęli najlepsze gospodarstwa i warsztaty prac. Zabużanie są spóźnieni cywilizacyjnie, zacofani pojęciowo. Spotykają się z pogardą, natrafiają na nieczułość. Nie posiadając pieniędzy stanowią ostatnią kategorię obywateli. To też ci, którzy przyjechali jeszcze w lecie, pozostawali w nędzy. Oblegali domy PUR'u, urzędy mieszkaniowe, referaty osiedleńcze. Bezskutecznie. To, że tak się dzieje wbrew intencjom rządu, nie zmienia stanu rzeczy. Widocznie są siły, które najlepsze zamierzenia państwa paaliżują.

Procesu osadnictwa nie odwróci się już. Wypadki 1945 roku podyktowały jego kolejność, która samoistnie wyznaczyła zróżniczkowanie osobistego stanu posiadania.

Wytrwała praca jednych, jak i życie nad stan bez pracy drugich, rozpiętości te wyrówna. Rzetelnie przeprowadzona weryfikacja tym razem przez czynniki centralne, może jedynie usunąć jaskrawsze przerosty szkodnictwa, na ogólną konstelację społeczną nie wpłynie.

Czas jednak podjąć walkę z człowiekiem koniunktury. Niech Rząd ukarze miejscowych kacyków, niech powoła na ich miejsce ludzi najczystszych w Polsce, niech zerwie z kluczem partyjnym w obsadzaniu kierowniczych stanowisk, niech potroi liczebność Komisyj Specjalnych i tępi bezlitośnie każde zło, a asymilacja kresowian stanie się faktem.

Ten sam postulat trzeba podjąć pod adresem Kościoła i świadomych swej roli katolików. W wielu miejscowościach ich poziom jest intelektualnie i społecznie zbyt niski. Sytuacja wymaga, aby obecny partykularizm katolickiego życia nad Odrą ustąpił miejsca nowoczesnemu apostolstwu, bojownikom o szerokiej myśli, gorącym sercu.

Jerzy Mikke.

Kamilla Kętrzyńska

Przywódcy współczesnej Francji

Szwajcaria, dzięki swemu położeniu geograficznemu w samym centrum zachodniej Europy i dzięki swej ugruntowanej historycznie neutralności, stanowiła zawsze i stanowi świetny punkt obserwacyjny dla wszystkich zagadnień europejskich. Istotnie, obecnie jest się tu jak na nieruchomym miejscu obserwacyjnym, dookoła którego przesuwa się znikoma panorama nieustabilizowanej jeszcze Europy.

To też w tej korespondencji ze Szwajcarii ulegam i ja pokusie podzielenia się z czytelnikami „Dziś i Jutro" widokami na perspektywy polityczne, znajdującymi się na dalszym geograficznie planie, zostawiając zagadnienia szwajcarskie na dalszą ewentualną przyszłość.

Obecnie po politycznej — a przede wszystkim na skutek moralnej kapitulacji Niemiec — krajem uczuciowo i psychologicznie Szwajcarii najbliższym, jest niewątpliwie Francja. Wyjątek stanowi jedynie niewielka część kraju, t. zw. Szwajcaria włoska, która pozostaje serdecznie związana z siostrzycą Apenińską, śledząc z prawdziwym rodzinnym zainteresowaniem każdy drobny wypadek jej życia, a jednocześnie, jak to w rodzinie bywa, odsuwając się niechętnie od jej najbardziej życiowych ideologiczno-politycznych problemów. Niechęć ta jest jednak bardziej skutkiem dobrze zrozumianych interesów własnych, niż wyrazem dezaprobaty. Inaczej się rzecz ma w Szwajcarii t. zw. niemieckiej, gdzie wstręt i przerażenie, wywołane przez ewolucję psychologiczną nazizmu — stały się powodem reakcji frankofilskiej, nie ujmującej oczywiście im zakorzenionemu od wieków patriotyzmowi szwajcarskiemu.

Do Francji jednak zwracają się przede wszystkim oczy tych wszystkich, którzy w duchu łacińskim szukają światła w mrokach labiryntu współczesnych zagadnień. I Francja ich w przyszłości pewno nie zawiedzie, na razie jednak mało pocieszający przedstawia widok. Jest ona daleka jeszcze od normalizacji, nie doszła do jako tako stałej równowagi ani między prawicą a lewicą, ani między starszymi, przedwojennymi, ani nowymi, powojennymi ugrupowaniami politycznymi.

W tej chwili po wyborze Wincentego Auriol na prezydenta Rzeczypospolitej i utworzeniu nowego gabinetu można nawet stwierdzić, że na razie zwyciężyli starzy.

Jedyne stronnictwo, które „starych" nie wprowadza, bo ich nie posiada, jest Ruch Republikańsko - Ludowy (Mouverment Republicain Populaire) t. zw. MRP. Nie znaczy to oczywiście, aby tam byli sami ludzie bardzo młodzi, znaleźć tam można cały szereg ludzi już przed wojną zasłużonych na niwie społecznej, naukowej, lub zawodowej — nie mają oni jednak żadnej przeszłości politycznej.

Komuniści się wzrośli, ale sztab ich składa się z działaczy przedwojennych.

Tak samo u socjalistów, gdzie wysunęło się kilku wybitnych ludzi nowych, ale autorytet pozostał w ręku starszyzny.

Radykałowie, którzy z prawicą najgorsze ponieśli ciegi, już częściowo naprawili szkody —i pozostają prawie całkowicie w rękach swoich przedwojennych przewódców.

Prawica do pewnego stopnia odnowiła swych przewódców, zaznacza się to jednak bardziej wpływami wewnątrz partii, niż w Izbie Deputowanych.

Zanim jednak dojdzie do definitywnej stabilizacji, trzeba, aby Francja wybrnęła z trudności finansowych i ekonomicznych. Peymiści wciąż jeszcze przewidują woj-

ZAGADNIENIA I POGLĄDY

W numerze 1 metodystycznego „Pielgrzyma polskiego" znajdujemy szereg uwag o naszym piśmie:

„Ks. Weryński powołał się w swej brosurze parokrotnie na mimowolne zbieżności z poglądami tygodnika „Dziś i Jutro", który się doń zresztą źle ustosunkował.

Pismo to wychodzi w Warszawie od listopada 1945 r. Tytułem przypomina przedwojenny faszyzujący organ osobisty Wł. Lud. Everta. Redaguje go triumwirat: W. Bieńkowski (nie mieszać z działaczem PPR'u i b. wice-ministrem oświaty!), J. Dobraczyński i W. Kętrzyński (syn i wnuk znanych historyków). Z nich tylko drugi był już znany sprzed wojny, a teraz ogłosił naraz parę książek.

Z organów klerykalnych ów właśnie cieszy się najlepszą opinią na lewicy. Zdaniem miarodajnej pod tym względem „Kuźnicy", walczy on z tradycjonalizmem, konwencjonalizmem społecznym i biernością mas, przedstawia radykalny kierunek myśli katolickiej i możliwą platformę porozumienia między rządzącą lewicą, a katolikami. „Dziś i Jutro" ma być tym pismem katolickim, na którym najmniej wyraźnie odbija się imprimatur władz kościelnych(?). W każdym razie jest to awangarda politycznego ruchu młodo-katolickiego.

Kiedy prezydent Bierut dwukrotnie w wywiadach prasowych zajął pozytywne stanowisko wobec Kościoła rzymskiego wRzplitej i nie wykluczył możliwości rozmów na temat zawarcia nowego konkordatu, grupa „Dziś i Jutro" pierwsza zgłosiła dyplomatyczną gotowość współpracy, usuwania niepotrzebnych zadrażnień, zapobiegania konfliktom.

37 pisarzy i działaczy katolickich podpisało wspólną deklarację w tym duchu, domagając się możliwości zorganizowania osobnego stronnictwa ultramontańskiego. Rzecz wymowna, że oświadczenia tego— wręczonego na specjalnej audiencji w Belwederze — nie podpisał nikt z redaktorów prasy katolickiej (a jest jej aż 8 tygodników samych!) poza redakcją „Dziś i Jutro". Przeważnie młodzi, **nowi, nieznani ludzie(!)**, ani jeden ksiądz, i **ani jeden** działacz dawnej Akcji Katolickiej(!).

Zespół „Dziś i Jutro" zapowiedział wydawanie własnego dziennika w Warszawie (pierwszego katolickiego dziennika w kraju) i próbuje zapoczątkować akcję polityczną, stając do wyborów z własnymi listami „chrześcijańskimi". Z list tych w 5 okręgach wyborczych kandydowało m. in. dwu redaktorów: Witold Bieńkowski i Wojciech Kętrzyński. Hierarchia kościelna zajęła wobec poczynań tej grupy świeckich katolików stanowisko wyczekujące. O ile grupa się ugruntuje, na błogosławieństwo pasterskie liczyć może...".

Jak widać, metodyści są wyznawcami teorii, że powodzenie decyduje o błogosławieństwie

nę domową, zamach komunistyczny... A może należałoby — licząc się z opinią Bernanosa, raczej powiedzieć, że przewidują to optymiści. Znakomity albowiem pisarz katolicki twierdzi, że Francuzi nie mają dzisiaj dosyć żywotności na wojnę domową. Wchodzą tu w grę zagadnienia biologiczne, na które Francuzi starają się poradzić za pomocą przewidującej polityki populacyjnej. Idzie ona dwutorowo: zwiększeniem ilości ludności rodowitej i importem cudzoziemców.

W dziedzinie pierwszej Francuzi zaczynają rozumieć, że nie chodzi tu o automatyczne poniekąd zwiększenie urodzin, ale o pomnażanie ilości małżeństw — nie pozbawionych podstaw ekonomicznych— ale przede wszystkim zawartych na zdrowych podstawach moralnych, nie z doboru notariusza, jak dotychczas, zwłaszcza na prowincji, bywało, ale z woli młodych zwalczania razem trudności życiowych dla zbudowania rodziny, chowania wspólnie szczęśliwych ślubnych dzieci.

Jest to jednak polityka na daleką metę, aby zaradzić tymczasem Francja stosuje politykę imigracyjną, przede wszystkim z Włoch. Przyjęto już pareset tysięcy robotników włoskich, trochę jak żywy tdwar!..

W stosunku do Polaków polityka ta jest bardziej złożona. Nie grają tu dominującej roli zagadnienia pracy — jak np. w Wielkiej Brytanii, lecz względy polityki wewnętrznej. Komuniści, część socjalistów i część MRP opiera się dopuszczeniu nowej emigracji, obawiając się żywiołów reakcyjnych (Andersowców), popiera natomiast przedwojenną naszą emigrację. Prawica zaś odnosi się pozytywnie do nowej emigracji, licząc właśnie na dopływ elementów reakcyjnych.

Drugi objaw, który można określić jako dowód choćby chwilowego wyczerpania i nawet upadku, jest całkowity brak zainteresowania dla spraw międzynarodowych. Zarysował się on już przed wojną w t. zw. polityce imperialistycznej, starającej się odwrócić uwagę Francuzów — za przykładem Anglii — od zagadnień europejskich na korzyść spraw własnych kolonii. Katastrofa wojenna dowiodła, jak krótkowzroczną była taka tendencja, nawet dla Wielkiej Brytanii, cóż dopiero dla Francji. Wbrew logice, właśnie Francuzom trudniej przychodzi się z niej otrząść niż Anglikom.

Tu leży głębsza przyczyna załamania się wpływów generała de Gaulle, który uosabia dążność do prestiżu, do mocarstwowości. Francuzi tego wysiłku widocznie w tej chwili nie chcą ponieść. Przemawia przez nich odwieczny ich konserwatyzm. Chłop i dzielny mieszczanin powtarzając: „niech lepiej będzie, jak było zawsze" sprowadzili z powrotem starych „kacyków" partyjnych.

Kiedy jednak chodzi o urzeczywistnienia, rolę nie mniejszą od zasad odgrywają indywidualności.

Zróbmy więc choć pobieżny przegląd indywidualności czołowych.

Osobiście najwybitniejszymi wśród nich są niewątpliwie komunista Thorez i Bidault z MRP.

Na najwyższą jednak godność Rzeczypospolitej został jednak wybrany Auriol, socjalista, który tak osobiście, jak z przynależności partyjnej uosabia kompromis.

Jest poglądów bardzo umiarkowanych, ma wielkie zasługi w Ruchu Oporu, posiada duży osobisty wdzięk, który tak często jest udziałem ludzi pochodzących, jak on, z południa Francji. Te wszystkie cechy były powodem, że sfery katolickie przyjęły jego wybór z wyraźnym zadowoleniem, a nuncjusz wygłosił na jego cześć piękne i nader życzliwe przemówienie.

Auriol był, nie należy o tym zapominać, w całej swej działalności partyjnej prawą ręką i można powiedzieć alter ego Blum'a.

Również prezes gabinetu Ramadier nie jest uważany za osobistość pierwszorzędną; jest to człowiek sześćdziesięcioletni, prawnik, również pochodzi z południa. Wyborem jego również kierowała dążność, aby nie utrudniać porozumienia współrządzących stron.

Udzielam nauki śpiewu opartej na ostatnich zdobyczach badań i metodach pedagogiki.

Zgłaszać się można
MICKIEWICZA 27 m. 95

Czołową postacią u komunistów jest Thorez. Jest to robotnik z okolicy Lille, działacz związków zawodowych i partyjnych, człowiek sam się dużo nauczył, swój autorytet potrafi narzucić, prawdziwy wódz, arbitralny i dosyć brutalny.

Towarzyszką jego życiową i matką kilkorga jego dzieci jest Jeanne Vermersih, także obecnie członkini Izby Deputowanych. Ślubna żona Thoreza przebywa od lat w zakładzie dla umysłowo chorych i dlatego nie mógł on otrzymać rozwodu, wyrażał jednak nieraz ubolewanie, że życie jego prywatne ułożyło się poza prawem.

Drugą z kolei interesującą postacią u komunistów jest Durlos. Cukiernik z zawodu, z okolicy Tarbes, również samouk, człowiek z natury uprzejmy i gładki, jest on dyplomatą stronnictwa. Zajmuje dziś stanowisko wiceprezesa Rady Narodowej, prezesa frakcji i jest najważniejszym, obok Thoreza, działaczem.

Podczas okupacji był przez Niemców gorliwie poszukiwanym i cały czas, około 4 lat, przesiedział w tej samej izdebce, w jednym z dalszych przedmieść Paryża, nie wychodząc z niej wcale. Roztył się skutkiem tego tak, że, jak legenda głosi, gdy przyszła chwila wyswobodzenia, nie mógł przejść przez drzwi i do tej pory odznacza się wyjątkową tuszą, co jeszcze dodaje mu dobroduszności. Jest to, jak Thorez, człowiekiem w sile wieku, nie ponad 50 lat.

Innego typu jest André Marty, były oficer marynarki wojennej, który podczas pierwszej wojny światowej organizował bunt marynarzy francuskich na Morzu Czarnym i został potem z marynarki usunięty. Jest on ze wszystkich najbardziej nieprzejednanym.

Uświadomieni już sobie zdają sprawę, że kiedy komuniści gotowi są iść na ustępstwa, rozmowy prowadzi Durlos — kiedy mają stawiać opór, wysuwany jest Marty.

Socjaliści posiadają w swych szeregach dużo inteligentnych i utalentowanych ludzi, ale ulegli osłabieniu na skutek obciążeń partyjną rutyną i niezdecydowanego stanowiska wobec konkurencyjnej partii komunistycznej. Najbardziej się ta słabość uwidacznia w lewym skrzydle.

Autorytet prawego skrzydła ratuje Auriol, a przede wszystkim Leon Blum, który z dawnego straszaka stał się z biegiem czasu poniekąd „ulubieńcem" prawicy — w każdym razie cieszy się u niej mirem i uznaniem. Glum jednak nie wykazuje już ambicji osobistych. Fotelu premiera już dłużej zajmować nie chciał. Jest już niewątpliwie starym i zmęczonym, poza tym zdaje sobie sprawę z tego, że fakt, że jest z pochodzenia Żydem, utrudnia mu sytuację i może spowodować dysonanse. Z wyznania jest on zresztą Anglikaninem, przekonanym i gorliwym.

Tak samo jak Blum i Ramadier i były premier Gouin są ludźmi, którzy potrafią się z prawicą porozumiewać.

Stronnictwo radykałów, kiedyś przodujące, uległo największemu rozbiciu, ale się już podnosi i zaczyna na nowo wysuwać. Daladier powrócił do parlamentu, ale jest już zdewaluowanym. Ogólnie zwracało uwagę, że on i Paul Reynaud wstrzymali się przy ostatnim głosowaniu.

Tymi, którzy u radykałów najwięcej skupiają zaufania i uznania, są jednak przede wszystkim Edward Herriot, świeżo wybrany do Akademii Francuskiej i Yvon Delbos, jeden z ostatnich przedwojennych ministrów spraw zagranicznych, który w tym charakterze odwiedził Warszawę w r. 1937. Obecnie znowu wszedł do gabinetu, jako minister stanu.

Najwybitniejszy członek MRP i obok Thoreza najwybitniejszy dzisiaj polityk fancuski Georges Bidault, był z zawodu profesorem historii w słynnej paryskiej szkole średniej Lycée Louis le Grand i przez lata redaktorem dziennika „L'Aube", gdzie umieszczał bardzo odważne artykuły w obronie zasad chrześcijańskich. Był zagorzałym przeciwnikiem polityki faszystowskiej, a później t. zw. monarchijskiej. Od początku okupacji brał udział w Resistanie (Ruch Oporu), a po zaaresztowaniu słynnego Maxa (Jean Moulin) został przewodniczącym Rady Narodowej Oporu, organu naczelnego działalności konspiracyjnej. Był też jednym z organizatorów paryskiego powstania. Po uwolnieniu Francji nastąpiło zetknięcie dwóch ludzi, którzy reprezentowali zwycięstwo: Bidault, który prowadził od wewnątrz i de Gaulle, który wszedł na czele wojsk wyswabadzających. Jakkolwiek sytuacja ta miała w sobie potencjał do niebezpiecznych rozgrywak, umiejętnie rozstrzygnęli ją kompromisem — Bidault został przy de Gaulle'u ministrem spraw zagranicznych. Ma on dużo taktu, potrafi ze wszystkimi utrzymać dobre stosunki. Łagodził nieraz konflikty, wywołane arbitralnością generała.

W najbliższej przyszłości będzie miał trudną rolę do odegrania na konferencji w Moskwie. Francja przedłożyła plan, przewidujący utworzenie z Niemiec federacji kilkunastu samodzielnych państw. Sprzeciwia się temu, między innymi, Polska, obstając przy rządzie centralnym zjednoczonych Niemiec. Kraje anglosaskie nie zajmując tak skrajnego stanowiska, nie odrzucają całkowicie koncepcji rządu federalnego — Bundesstaat — ale sprzeciwiają się koncepcji francuskiej federacji państw — Staatenbund — niektórzy dopatrują się już oznak, że Francja, widząc się osamotnioną, zaczyna ustępować ze swego stanowiska.

Inni wybitni działacze MRP również rekrutują się przeważnie z wyższej lub średniej burżuazji: Philippe Teitgen, ze znanej prawniczej rodziny z Nancy, był profesorem na wydziale prawnym w Bordeaux — piastuje obecnie godność wiceprzewodniczącego Rady Narodowej, syn jego Paweł, adwokat, był ministrem sprawiedliwości w jednym z pierwszych gabinetów Francji wyzwolonej, pozostali synowie również odegrali poważną rolę w Ruchu Oporu. To samo się mniej więcej stosuje do byłych ministrów Francois de Menthon i Francisque Gay, współwłaściciela znanego katolickiego domu wydawniczego Blond et Gay.

Prawica zaś cierpi na brak wybitnych ludzi.

Nie bez wpływów pozostaje Louis Marin, ale tak jak Daladier i Reynaud należy już do zdewaluowanych.

Wśród zwolenników generała de Gaulle za najwybitniejszego uważany jest René Capitant, syn słynnego prawnika, Henri Capitant.

Monarchiści w tej chwili ważniejszej roli nie odgrywają, ani nie podnieśli się jeszcze całkowicie po załamaniu się Action Francaise.

To samo można powiedzieć o francuskich faszystach. Niema we Francji ruchu, który by można porównać do włoskich neo-faszystów. Uwidacznia się natomiast tendencja do przejścia do porządku nad działalnością niedawnych germanofilów. Okres „czystki" już się kończy, następuje okres pojednania. Pomniejsi germanofile zaczynają pomału wracać na mniej ważne stanowiska.

Taką tendencję przejścia do porządku popierał swego czasu sam de Gaulle, traktując sprawy z daleko idącym liberalizmem, aby, z jednej strony uniknąć pozorów wykonywania zemsty osobistej, z drugiej strony aby nie popierać metod, których potępianie było jednym z haseł Francji walczącej.

Jednak w ostatnich czasach pewną przeciwną reakcję wywołała głośna sprawa pułkownika René Hardy, jednego, można powiedzieć, z asów Ruchu Oporu, szczególnie w okresie lądowania w Normandii, który przesiedział dwa lata w więzieniu pod zarzutem zdrady i przyczynienia się do aresztowania przywódcy Ruchu — Maxa.

Wierni mu koledzy, ludzie na ważnych stanowiskach, pomimo, że za niego gotowi byli ręczyć, nie zdołali uzyskać ani wypuszczenia go za kaucją, ani przyśpieszenie procesu. Odbył się on dopiero teraz, uświetniony obroną słynnego adwokata paryskiego barreau Maurice Garcon. Oskarżony wyszedł z niego całkowicie oczyszczony. Sprawa jednak rzuciła ponure światło na możliwości zaczajonych „tajnych sił".

Kamilla Kętzyńska

Życie gospodarcze

Jednym z najbardziej podstawowych warunków sprawnego funkcjonowania systemu gospodarki planowej jest właściwa organizacja naczelnych władz gospodarczych, a w szczególności gospodarczych resortów. Zagadnienie to nie jest łatwe do rozwiązania. Nawet w Rosji Sowieckiej, gdzie gospodarka planowa jest realizowana od tylu lat, organizacja i wzajemny stosunek władz gospodarczych ulegał i ulega częstym zmianom. Problem ten jest szczególnie aktualny w Polsce, gdzie na obecnej organizacji resortów gospodarczych zaważyły nie tyle wymogi gospodarki planowej, ile pewne naśladownictwo przedwojennego stanu rzeczy i indywidualność poszczególnych kierowników resortów.

Wydaje się, że reorganizacja władz gospodarczych jest zarówno celowa jak i możliwa do przeprowadzenia z uwagi na zdobyte w ciągu dwóch lat doświadczenia. Byłoby rzeczą pożyteczną, gdyby na ten temat rozwinęła się publiczna dyskusja, w szczególności na łamach licznych czasopism gospodarczych.

Poniżej w skromnych ramach naszego działu gospodarczego zarysowujemy zasady, które naszym zdaniem winny być podstawą postulowanej reorganizacji.

1. W systemie gospodarczym nowoczesnego Państwa można wyodrębnić następujące zasadnicze działy:
   a) Dział planowania ogólno-gospodarczego,
   b) Dział finansów,
   c) Dział poszczególnych dziedzin gospodarczych (przemysł, handel, rolnictwo, aprowizacja, komunikacja itd.),

2. Dział planowania i dział finansów winny być reprezentowane przez oddzielne resorty, a więc resort planowania i resort finansów. Oba te resorty mają charakter pewnej syntezy w stosunku do wszystkich innych działów.

Resort planowania tworzy w planie ogólno gospodarczym, opartym o pewną koncepcję syntezę planów poszczególnych dziedzin, resort finansów tworzy syntezę działalności poszczególnych jednostek gospodarczych.

Równocześnie żądania powyższych resortów wyraźnie oddzielają się. Resort planownaia wypracowuje koncepcję, która znajduje wyraz w planie ogólno-gospodarczym. Resort finansów spełnia funkcje wykonawcze, a mianowicie:
   a) dokonywa wskazanych przez plan przesunięć w dochodzie społecznym i majątku narodowym,
   b) czuwa nad zasadniczym warunkiem wykonania planu: stałością cen.

3. Trzeba podkreślić istotną różnicę jaka zachodzi pomiędzy pojęciami: resort skarbu i finansów. Resort skarbu jest instytucją właściwą dla ustroju liberalno kapitalistycznego, w którym rola państwa w życiu gospodarczym ma charakter raczej bierny. W tym ustroju zadania resortu skarbu polegają na ściąganiu danin publicznych, w celu utrzymania aparatu administracyjnego oraz wojska. Ta działalność znajduje formalny wyraz w budżecie państwa, sporządzanym przez resort skarbu. W systemie gospodarki planowej obok powyższego zadania dochodzą jeszcze dalsze, a mianowicie:
   a) zastąpienie t. zw. automatyzmu złotej waluty celową polityką pieniężno-kredytową, zapewniającą stałość cen,
   b) kierowanie finansową stroną państwowych jednostek gospodarczych.

Te zadania narzucają konieczność zmiany nazwy resortu skarbu, obejmującego zakres tylko t. zw. fiscusa na resort finansów.

4. Poszczególne, wyżej wymienione dziedziny winny być ujęte w oddzielne albo wspólne resorty. Za kryterium podziału należy przyjąć rodzaj produkcji lub usług, przyczym handel należy uważać za sui generis ostatnią fazę danego rodzaju produkcji, a aprowizację jako dziedzinę całkowicie związaną z rolnictwem. W ten sposób można ustalić następujące resorty:
   a) przemysłu i handlu,
   b) rolnictwa i aprowizacji,
   c) komunikacji (koleje, samochody, drogi, żegluga),
   d) poczt i telegrafów.

5. Każda dziedzina gospodarcza winna podlegać w całości jednemu resortowi bez względu na przynależność sektorową, co oczywiście nie przeszkadza tworzeniu przez poszczególne sektory własnych organizacji reprezentujących ich interesy.

6. O ile w organizacji całej gospodarki narodowej należy przyjąć zasadę dekoncentracji, o tyle organizacja naczelnych władz gospodarczych winna być skoncentrowana (1).

Czytelnik uważa, że...

W niniejszej rubryce drukować będziemy wypowiedzi i opinie naszych czytelników na wszelkie zagadnienia życia współczesnego, politycznego, społecznego, gospodarczego i kulturalnego. Wypowiedzi winny być opatrzone imieniem i nazwiskiem lub pseudonimem (w tym wypadku nazwisko winno być podane do wiadomości redakcji) oraz nazwę miejscowości. Wypowiedzi nie powinny przekraczać 50 wierszy druku.

DO REDAKCJI „DZIŚ I JUTRO"
Z ŻYCIA REPATRIANTA

Nie odstraszało ich silne zniszczenie kraju, w czasie akcji wojennej, czy to później przez żołnierza frontowego, czy elementy szabrownicze. Nie odstraszała ich ruina gospodarstw, bujnie krzewiące się osty, ni też plaga myszy żerujących na niezebranych łanach żyta i pszenicy. Tęsknota za pracą w trudzie, w którym nabyli swe mienie, nagliła do szybkiego się osiedlenia. Większością ludności dzisiejszych Mazurów stali się oni — repatrianci. Nie nęcił ich daleki zachód nad Odrą, a którzy znaleźli się tam, dziś coraz więcej ściągają się tu, aby znaleźć swych bliskich i krewnych, pragnąc z nimi dzielić każdą radość i trudy nowego życia.

Dziś każdy przechodni przez te tereny, może widzieć ich wszędzie, pierwsze kroki pionierskie w nowej Ojczyźnie. Nie łatwo one były stawiane i w niezbyt prostych liniach przedstawiają się teraz. Tylko wytrwałość polskiego chłopa i miłość ku tej ziemi mogła przełamać wszelką niechęć, każąc tu znaleźć swój zagon ojcowizny, przy którym w znojnym trudzie pracy miał zapomnieć o przeszłości. Zachwaszczone pole, brak sił pociągowych, brak ziarna siewnego postawiło każdego repatrianta do ciężkiej walki o byt, podkopując go nieraz mocno materialnie i duchowo.

Sucha wiosna na obszarze wzgórz t. zw. morenowych nie dała dobrze skiełkować ziarnku, jesienna plaga myszy, które w 80 proc. zniszczyły zasiewy, wytworzyły ciężką sytuację gospodarczą w całym kraju Mazurskim. Chociaż według statystki niemieckiej kraj ten liczy 18 proc. gleby dobrej, a 54 proc. gleby średniej, dziś te ziemie nie są w stanie wyżywić zamieszkującej je ludności. Nawet lata przyszłe, tak szeroko planowane w systemie gospodarczym państwa polskiego, przyniosą to, aby mogło w zupełności wystarczyć na wszelkie potrzeby wewnętrzne kraju, nie mówiąc już nic o imporcie z jego granic. Stan gospodarczy jesiennego siewu jest bardzo smutny i dużo stwierdzający powyższym poglądom. Znane mi warunki np. powiatu Licbarskiego, pozwolą przedstawić bardzo jasno faktyczny stan dzisiejszy i przyszły zagospodarowania tych terenów. Mając takie dane w rolnictwie, — jak ilość wykonanego siewu na rok przyszły, można dużo przewidzieć. Otóż na każde gospodarstwo o powierzchni od 10 do 15 ha nie przypada więcej jak od 2 do 3 metrów żyta wysianego i to bardzo w spóźnionym czasie, gdyż ostatnie przydziały siewne były zrealizowane już w listopadzie.

Brak karmu treściowego nie daje się rozwijać szybkiemu pogłowiu żywego inwentarza, okres zimowy jest ciężki dla rolnika - repatrianta, nie tylko każe zaciskać pasa sobie, ale i podobną receptę stosować między swego szczupłego inwentarza. Dużo się mówi o pomocy zimowej w zarządach gmin i Związku Samopomocy Chłopskiej, ale dotąd jej nie widać, choć czas najwyższy ku temu. Taki przydział z mowy musiał być na porządku dziennym, zdaje się na całym obszarze ziem odzyskanych, jeśli to nie nastąpi w bliskim czasie, siew wiosenny, o którym także czas już myśleć, wypadnie taki sam, jak roku ubiegłego. Innym wielkim hamulcem w postępie pracy repatrianta-osadnika jest kwestia ludności autochtonicznej, która dziś wyłania dużą pomyłkę władz osiedleńczych. Największa faza wypadków w tej dziedzinie przypada na okres jesienny, gdy osadnik-repatriant miał do wykonania najważniejszy zakres pracy siewu ozimin. Niejedna rodzina repatrianta musiała opuścić zajmowane gospodarstwo dla przybyłego skądś Mazura. Włożony nakład pracy przez osiedleńca, ginie, bo któż mu zwróci? Zresztą żadne pomoce nie są w stanie wyrównać poniesionych strat przy przesiedleniu rolnika. Paląca ta rzecz nie jest jeszcze załatwiona do końca i dziś. Popełniony błąd stał się drugą plagą na Mazurach po myszach wśród repatriantów. Każdy obserwujący taki wypadek zniechęcał się nieraz do pracy, nie wykonując jej sumiennie, licząc na to, że w każdej chwili może być pozbawiony danego gospodarstwa.

Wogóle repatrianci spotkali się z dużym rozczarowaniem pod względem warunków podawanych przez urzędy ewakuacyjne. Przeznaczone zapomogi są nie dotrzymane, przydział kartek żywnościowych jest bardzo skąpy. Pozostawione mienia są mało brane w rachubę. Urząd likwidacyjny mienia poniemieckiego upomina się za każdy grat znaleziony przez osadnika.

Myśl ojcowa każe mu czuwać i stać na straży w obronie ich wiary i Ojczyzny.

Żaden element osadniczy nie jest tak oddany w odbudowie ziem odzyskanych, jak repatriant wschodu. Danina Narodowa została przyjęta z myślą radości, że oczy całego narodu zostały skierowane na te odłogi, gdzie on kładzie pierwsze podwaliny gospodarcze, a chociaż warunki jego egzystencji są ciężkie, pośpiesza też z całym narodem i choć małą ciegiełką na jaką go stać, składa w urzędach daniny. Rozkwit tych ziem, to rozkwit życia repatrianta, to rozkwit jego pracy, przy odbudowie odrodzonej Ojczyzny.

Aby spełniony obowiązek przy urnie wyborczej dał mu to, za czym go osiedliła myśl na ziemiach Warmii i Mazurów.

Trzaskowski Leonard

DO REDAKCJI „DZIŚ I JUTRO"

W artykule: „Quo vadis" po pięćdziesięciu latach" (Odrodzenie III, 51—52) S. Papée podaje cyfrę 20 przekładów tego dzieła na język włoski, a więc nawet mniej niż w niemieckim.

Tymczasem rzeczywistość przedstawia się zgoła inaczej. W ogłosnoej w ub. r. przez prof. H. Damianiego „Bibliografia italiana di Sienkiewicz" wymienionych jest 42 przekładów „spomiędzy niezliczonych przedruków, nowych wydań i nowych tłumaczeń". Niektóre z nich opatrzone są w obszerne wstępy historyczno-archeologiczne (O. Marucchi, E. Salvadori...), luksusowo wydane, z pysznymi ilustracjami. Skrupulatne wszakże przejrzenie „Bollettino delle pubblicazioni italiani della Biblioteca Nazionale di Firenze" z lat 1899—1939 każe tę już niezwykle wielką (w porównaniu np. ze stosunkami wydawniczymi polskimi) sumę podnieść do siedemdziesięciu. „Lecz wiele przedruków zrobiono z pominięciem kontroli bibliograficznej, nie licząc już wydań „dzikich", tak, że na pewno nie przesadzimy, kalkulując ilość wydań „Quo vadis" na sto" — pisze M. Bersano Begey, doskonała znawczyni Sienkiewicza w Italii. Ta sama autorka dodaje: „Powieść osiągnęła powodzenie, które nie da się porównać z żadnym innym dziełem włoskim, czy zagranicznym, jeśli się wyłączy „I promessi sposi" i „Cuore". Były to czasy Figarozza, Vergi, D'Annunzia; gwiazda Seraa chyliła się ku zachodowi, wschodziła Dellady, by mówić tylko o znamienitszych pisarzach. Ale każdy z tych autorów miał określony krąg czytelników, najczęściej ludzi wykształconych, pociągniętych osobliwościami talentu mistrza; szerokie masy czytały Montépina i Karolinę Invernizio. „Quo vadis" — przeciwnie — przeniknęło do wszystkich środowisk, zdobywając z miejsca czytelników z różnych warstw i o różnej kulturze literackiej, a to dzięki niezrównanemu przywilejowi geniusza mówienia do wszystkich serc; to lud wpierw niż inteligencja ukochał tę książkę, a jej powodzenie, więcej niż wyjątkowe, trwa po dzień dzisiejszy". I rzeczywiście, dziś jeszcze „Quo vadis" należy do żelaznego repertuaru lektury młodzieżowej, w witrynach księgarskich i na wózkach z „libri usati" widzi się egzemplarze arcydzieła Sienkiewicza, zaopatrzone w jaskrawe winety, wyobrażające Ursusa, obalającego tura lub scenę na via Appia.

W czasie wojny odbijano dawne tłumaczenia i wydano jedno nowe (A. Pitta w Edizione Romana, 1944), w roku zaś jubileuszowym anonsowano nowe tłumaczenie, które jednak dotąd nie ukazało się na rynkach księgarskich.

Jeśli się zważy, że nakłady książek włoskich, zwłaszcza obliczonych na popyt, są dosyć duże (5—10 tys. egzemplarzy), to pozornie oszałamiająca liczba kilkuset wydań francuskich (po 500 egz.) zmaleje do właściwych rozmiarów — skoro się jeszcze przypomni, że książka francuska nie tylko we Francji jest czytana — a pierwszeństwo otrzyma rynek wydawniczy włoski z setką wydań „powieści z czasów Nerona".

Ks. J. T. Milik

Rzym, luty 47 r.

DO REDAKCJI „DZIŚ I JUTRO"

„Zakazane Piosenki" zarówno w dziennikach, jak tygodnikach, poddane zostały gruntownej krytyce, która bezspornie wykazała nie tylko małą wartość, lecz wręcz pod pewnymi względami szkodliwość tego nieudanego filmu. O ile wiem jednak nikt jeszcze nie zwrócił uwagi na jaskrawe fałszowanie faktów historycznych, dokonane w „Zakazanych Piosenkach". I tak:

a) Jesień 1939 r., którą wszyscy pamiętamy jako słotny i błotny okres, kiedy chodziło się po mieście w strojach wręcz turystycznych, a mieszkało w domach mających dykty miast szyb — w filmie jest przedstawiona jako słoneczny maj, ludzie chodzą elegancko ubrani do figury, mieszkania są czyste, szyby całe. Tak bywało, ale w dwa, trzy lata później.

b) Pierwsza audycja polska przez „szczekaczki" nadana została w maju 1943, tymczasem widoczne wtedy na filmie napisy „Oktober" były pisane na murach dopiero od września 1943 r.

c) W owej audycji „szczekaczkowej" reżyser filmu użył pierwszych zdań — żywcem wziętych z prawdziwego tekstu pierwszej audycji, ale zaraz zdania następne zostały wzięte z powietrza, wymyślone. Każdy, kto choć trochę zna środowisko AK, które przeprowadzało ową akcję „szczekaczkową", wie, iż wtedy nie do pomyślenia było, by w tego rodzaju imprezie nadany został komunikat o bojach I dywizji polskiej w ZSRR. Tym bardziej, że w maju 1943 dywizja ta zaczęła się dopiero organizować. Lenino było w październiku — panie Starski! Czas by wiedzieć i znać historię ostatniej wojny.

d) Autentyczna historia ze studentem-grajkiem i konfidentem Gestapo w istocie miała miejsce nie jak w filmie natychmiast po pierwszej audycji „szczekaczkowej", ale w rok później, wiosną 1944.

e) Po Powstaniu na Pragę przedarła się część żołnierzy z AL z zgrupowania żoliborskiego, gdyż tylko z tego rejonu było to możliwe. Tymczasem bohater filmu spotyka się ze swą siostrą w śródmieściu, w śródmieściu walczy w AK, (jak wskazuje opaska) — a więc nie mógł przedostać się na tamtą stronę Wisły.

O innych fałszach filmu (historia z zabójstwem owej Kendschorek, łagodni Niemcy, brak grozy okupacyjnej itp. bzdury) pisała już prasa wyczerpująco. Pozwolę więc sobie dorzucić jeszcze parę grzechów do owej litanii równocześnie pod adresem Filmu Polskiego, kierując przestrogę, iż naogół publiczność polska, dla której podobne filmy są przeznaczone, ma lepszą pamięć lat ubiegłych, niż scenopis p. Starski, który wojnę spędził zapewne na księżycu.

Stanisław Gawroński

Szeroki horyzont

ARMIA BEZ LUDZI I ZADANIA

Prasa amerykańska poświęca wiele miejsca artykułom na temat armii Stanów Zjednoczonych. Wynika z nich, że zasadnicze bolączki tej potężnej maszyny bojowej, polegają na braku ludzi, którzy by byli rzeczywiście wartościowym elementem.

Dane stwierdzają, że z 1.500.000 żołnierzy, służących dziś w wojsku amerykańskim, połowa składa się z bardzo młodych chłopców, którzy nigdy nie walczyli i posiadają tylko słabe wyszkolenie, a druga połowa składa się z wysłużonych żołnierzy, którzy walczyli na wszystkich frontach, zostali zdemobilizowani, ale zaciągnęli się znowu, ponieważ nie mogli dla siebie znaleźć stanowisk w życiu cywilnym. Dalej, artykuły stwierdzają, iż powszechne jest w wojsku niezrozumienie dla zadań armij okupacyjnej i to zarówno wśród doświadczonych, jak i młodych żołnierzy. Tak samo i dowództwo jest zdania, iż istnieją poważne różnice w wyszkoleniu żołnierzy do walki i do pełnienia powinności wojsk okupacyjnych.

WOJSKO JEST WOJSKIEM

Dalej, trzeba też wspomnieć o ważnym „hamulcu psychicznym", który poważnie wpływa na słabe wyniki zaciągu do armii amerykańskiej. Chodzi mianowicie o to, że mimo wszelkich wysiłków, dla uprzyjemnienia żołnierzom życia i wysokiej stopy życiowej amerykańskich wojsk, armia pozostała jednak armią i — jak stwierdzają publicyści — młody, przyzwyczajony do swobody Amerykanin, nie będzie się w niej czuł dobrze.

Organizacyjnie, armia Stanów Zjednoczonych ucierpiała bardzo naskutek szybkiej demobilizacji 8 milionów ludzi, w czym wielu doświadczonych oficerów i personelu kadrowego. Zwolnione stanowiska obsadzano niejednokrotnie ludźmi niewykwalifikowanymi, co nie mogło pozostać bez wpływu na szkolenie rekruta.

Tak samo i zupełnie nieograniczone środki materialne, jakimi dysponowało wojsko podczas wojny i w początkowym okresie okupacji pokonanych państw, uległy znacznym ograniczeniom.

Inne jeszcze kłopoty, są natury bardziej ogólnej. Komentarze stwierdzają, że armia leży w próżni między dwoma epokami, gdyż nikt nie wie, jaka będzie rola wojsk lądowych w epoce atomowej. Jest wiele punktów widzenia, wyrażanych przez rozmaitych rzeczoznawców, ale żadnego z nich nie można przyjąć za doktrynę.

OCHOTNICY CZY Z POBORU?

Jak wspomnieliśmy, armia amerykańska liczy obecnie półtora miliona żołnierzy. Cyfra ta jednak gwałtownie maleje i istnieją w kołach wojskowych poważne obawy, czy będzie mogła być utrzymana cyfra 1.070.000, jaka ma obrazować stan liczbowy w dniu 1 lipca bieżącego roku. Prawdopodobnie, dowództwo będzie musiało się zdecydować, czy ma w najbliższym czasie zażądać od Kongresu odnowienia ustawy o służbie wojskowej, czy też domagać się jeszcze bardziej radykalnego przymusu przeszkolenia wojskowego.

Wobec braku wyszkolonego personelu oficerskiego, szkolenie rekruta jest obecnie bardzo ograniczone, nawet w porównaniu z okresem wojennym, kiedy to produkowano nowe dywizje „systemem taśmowym". Wyszkolenie zasadnicze trwa zaledwie 8 tygodni, gdy w okresie wojennym waało się od 13 do 17 tygodni, w zależności od rodzajów broni. Jednak nawet i ten okres, redukuje się częstokroć do 6 tygodni, kiedy odczuwa się w garnizonach okupacyjnych gwałtowny brak ludzi.

Naturalnie, w czasach pokojowych, armia amerykańska, podobnie jak i inne, nie obrazuje tak dokładnie oblicza narodu, jak w czasie wojny. Artykuły stwierdzają, że głównym elementem są w niej teraz ludzie, którzy z rozmaitych powodów nie widzieli dla siebie szans w życiu cywilnym. Jeśli chodzi o młodych ludzi, nie posiadających wykształcenia, to zasadniczą atrakcją, dla której zaciągnęli się do wojska jest żołd 75 dolarów miesięcznie, który poza Stanami Zjednoczonymi wzrasta do 90 dolarów dla szeregowca. Niektórzy zaciągnęli się, by skorzystać z bezpłatnego nauczania, jakie zapewnia im w dość szerokich ramach wojsko, zaś większość znęciła poprostu chęć odmiany i żądza przygód, po uregulowanym trybie życia w nietkniętej wojną Ameryce.

CZY KOLEŻEŃSTWO ZWYCIĘŻA?

Jeśli chodzi o wysłużonych żołnierzy, których już zdemobilizowano, a którzy zaciągnęli się dobrowolnie, to twierdzą oni przeważnie, że pociągnęło ich z powrotem do wojska, kwitnące tam życie koleżeńskie. W istocie jednak, u podłoża ich powrotu leży chęć uwolnienia się od niepewności i obaw codziennej walki o byt. Wojsko daje stałą pracę, ubranie, mieszkanie, wyżywienie i zupełnie uregulowany tryb życia. Wielu ludzi nawykło podczas wojny do tego, że państwo się troszczy o ich utrzymanie, tak, że teraz trudno im wyrzec się tego stanu rzeczy.

Ze wszystkich jednak poważnych artykułów przebija jedna zasadnicza troska: amerykańskie wojska okupacyjne dalekie są od zrozumienia zadań, jakie na nich ciążą.

Podczas wojny, armia amerykańska miała jedno tylko zadanie — zwyciężyć nieprzyjaciela. To tłomaczyło i usprawiedliwiało wszelkie trudy i wyrzeczenia. Kiedy jednak wojna została wygrana, wytłomaczenie dalszych zadań żołnierzom tego kraju, który właściwie sam nie ucierpiał w wojnie, było problemem bardziej skomplikowanym. Bitwa o pokój wymaga bowiem znacznie większego uświadomienia, znacznie większego zrozumienia sytuacji, niż czasy wojenne.

Żołnierze są przeważnie zbyt młodzi, by zrozumieć należycie ogrom spoczywającego na nich zadania, a wszelkie uogólnienia i nauki ideowe, nie robią na nich większego wrażenia.

JEDNO WIELKIE „DLACZEGO?"

Publicyści użalają się, że Wydział Informacji i Wychowania, jest prawdziwym Kopciuszkiem w amerykańskim Ministerstwie Wojny. Żołnierze wojsk okupacyjnych wielokrotnie mają wobec swych przełożonych szereg pytań, na które nie usłyszą odpowiedzi. Każde „Dlaczego?", które pozostaje bez odpowiedzi, obniża wartość szkolenia rekruta i pogłębia tylko jego nieznajomość misji wojsk okupacyjnych w krajach pokonanych.

W szkoleniu rekruta, wykształceniu ideowemu poświęca się zaledwie jedną godzinę tygodniowo. Jest ona wepchnięta między ćwiczenia polowe i nie cieszy się zrozumieniem u żołnierzy. Oto kilka ich wypowiedzi, kiedy dziennikarze zapytywali o wrażenia z tych wykładów: „Zwykle śpię na tych bajeczkach". „Przeważnie nam mówią, że nie powinniśmy kopać ludzi dookoła nas — ale ja to i tak już wiem".

Z artykułów przebija obawa, że tak jak po tamtej wojnie, oficerowie zamkną się w swych skorupkach głusi i ślepi na wszystkie przemiany zewnętrznego świata, zaś żołnierze będą automatami, zdolnymi do spełnienia tylko tego, co im się ściśle poleci. Ta obawa przed odseparowaniem wojska od narodu, zamyka listę głównych kłopotów, jakie mają Amerykanie ze swoją armią.

Wilk.

Redaguje: Jan Dobraczyński, Bolesław Piasecki. Wydawca: Kolegium redakcyjne.

Adres Redakcji i Administracji: Marszałkowska 81 m 17, tel. 880 71 Konto P K O — Nr 1—727 Adres Oddziału Krakowskiego: Kurkowa 5 m 4.

Sekretarz redakcji przyjmuje: codzień, prócz poniedziałków i sobót, godz. 12.30—13.30.

Prenumerata miesięczna 40 złotych. Kwartalna 120 złotych.

Złożono w Zakł. Graf. „Dźwignia", Widok 24. B-2018

Odbito w drukarni „Czytelnik" Nr 2. Marszałkowska 3/5.